Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmnje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 21 marca 1937 r. Nr. 12

WIERSZ O WIOŚNIE

Wiosna stoi u progu — —
niech będzie pozdrowiona;
krokusami liliowymi
ozdobiona...

Wiosna stoi u progu — —
i uśmiecha się słonkiem...
niezadługo rozśpiewa się
skowronkiem...

Wiosna stoi u progu — —
i rozsyła uśmiechy...
szarej doli,
z wioskowej strzechy...

Stokrotkami rozkwita,
i gwiazdami nam dnieje —
że na nowo budzą się w nas
nadzieje.

Stokrotkami rozkwita,
błądzi z nami po łące,
śpiewa hymn,
o radości i słońcu...

Niech przystroi kwiatami
łąk — dalekich kobierce — —
miejmy radość wiosenną
w swym sercu...

Józef Baranowski.



WOJCIECH HOLM

23)

Nienawiść a miłość

czyli tajemica zamku Felseg

— Więc powiedz mi przynajmniej, z czyjego rozkazu mię tu przywieziono, abym wiedziała czego oni chcą ode mnie.

— Nie mogę, nie mogę! — szepnęła Ilka przestraszona — bo przysięgłam dyskrecję, a pan, któremu służę, jest bardzo ostry. Biada służbie, którą schwyci na niewierności.

Gdy on się gniewa i gdy z ust jego wymknie się „teremtete" (węgierskie przekleństwo), to wszystko drży przed nim i z przestrachem schyla głowę.

Obawa jej przed surowym chlebodawcą tak była widoczną, że Hortensja nie nalegała więcej. Młoda kobieta pogrążyła się znów w zadumie, a Ilka stała obok niej milcząc i patrząc na nią z litością.

Wtem bystre ucho Węgierki usłyszało zbliżający się tętent kopyt końskich. Spojrzała badawczo na Hortensję i wysunęła się cicho z pokoju.

Coraz głośniej słychać było odgłosy szybkiego biegu koni. Nagle ucichło wszystko drzwi się otworzyły i zamknęły. Słychać było jakąś przyciszoną rozmowę, po czym nastąpiła grobowa cisza.

Z bijącym sercem przysłuchiwała się Hortensja tym odgłosom.

W utrapieniu swym zanosiła gorące modlitwy do Boga, bo przeczuwała, że teraz nastąpi chwila stanowcza i decydująca.

Nie wiedziała sama, jak długo siedziała tak w ogłuszeniu, nie słyszała otwierających się drzwi, ani szelestu odchylanych portier; zobaczyła tylko nagle stojącą przed sobą okazałą postać księcia Beli Iffalwi'ego.

Z okrzykiem przerażenia cofnęła się Hortensja wstecz.

— Więc to pan — wykrzyknęła Hortensja z żalem — to pan mnie uwięził? A ja pana tak ceniłam, lubiłam.

Słowa jej były tak szczere i pełne prostoty, że wywarły nawet wrażenie na tak zatwardziałym, starym grzesznika, jak książę.

Iffalwi rzucił się młodej kobiecie do nóg, ujął błagalnie jej ręce i zawołał głosem, który świadczył o jego wielkim wewnętrznym wzruszeniu:

— Najdroższa, anielska, najmilsza moja! Gdybyś tylko przeczuwała, jak straszna namiętność mną owładnęła, jak każda kropla krwi mojej i każdy mój oddech do ciebie należy, nie gniewałabyś się na mnie. Przebacz mi w imię mojej bezgranicznej miłości. Nie mogłem żyć bez ciebie i dlatego wziąłem cię przemocą. Bądź moją, Hortensjo! Bądźmy szczęśliwi! Nie zagłuszaj głosu miłości w swoim sercu!

Książę chciał ją objąć, ale Hortensja odtrąciła go ze wstrętem.

— O, książę — rzekła ze smutkiem — zdradziłeś zaufanie, które ojciec mój i ja w tobie pokładaliśmy i straciłeś tym samym swój honor.



W jednej z kalifornijskich ferm wyhodowano konia — liliputa, który, jak twierdzi jego właścicielka, jest najmniejszym koniem na świecie. Koń ten waży 55 kg i jest 65 cm. wysoki.

Książę udał, że nie słyszy ciężkiej skargi, leżącej w tych słowach.

Nie przypuszczał, że upór Hortensji będzie tak wielki. Stała ona przed nim, jak wspaniały posąg marmurowy. Książę chciał ją ożywić swoim ogniem i werwą. Użył całej, czarującej swej wymowy, podniesionej pełnym, dźwięcznym głosem i palącym spojrzeniem, ale ona miała dla niego tylko jedną odpowiedź:

— Jestem mężatką, a serce moje należy niepodzielnie do mego męża.

— Któraż wolna kobieta pyta o nałożone jej przez los kajdany? — zapytał książę z domieszką niechęci. — Mąż pani dawno już rozluźnił węzły, łączące go z panią; on pierwszy złamał wierność i pogardził miłością pani. Opuścił panią sromotnie, zostawiwszy na pastwę nędzy i osamotnienia. A ty mu chcesz dochować wierności? On nigdy nie wróci do ciebie, bo jest w pętach innej kobiety, której wdziękom oprzeć się nie może.

O twoją miłość mu nie chodzi, pogardza nią! Dlaczego więc wahasz się sięgnąć po inne szczęście, kiedy i on gdzieindziej szczęścia szuka! Nie bądź głuchą na głos rozsądku! Masz słuszne pretensje do życia i do szczęścia! Ja chcę cię uszczęśliwić moją miłością i uwielbieniem! Bądź moją, Hortensjo! U nóg twoich będę leżał, wśród pieszczot moich zapomnisz o smutnej przeszłości i w moich objęciach znajdziesz raj na ziemi.

To rzekłszy, rzucił się na swą ofiarę, ale Hortensja broniła się siłą, którą daje rozpacz.

Poczęli się szamotać. Już siły opuszczały młodą kobietę, gdy uratował ją niespodziewanie przypadek, a raczej Wszechmoc Boża.

Podczas mocowania się jej z księciem, zerwał się jej na szyi cieńki łańcuszek, na którym zawieszony był staro-żytny medalionik. Medalionik ten upadł na ziemię i książę nadepnął go.

Uderzony oryginalnością medalionu, zaczął mu się przypatrywać. Wreszcie wziął go w rękę i po dokładnem obejrzeniu, zawołał:

— Jakto? Herb Lehisdorfski? Skąd pani wzięła ten medalion?

Mała ta okoliczność wystarczyła, aby ochłodzić namiętność księcia i odwrócić myśli jego na inne tory.

Oczy jego przygasły, a ton mowy się zmienił.

— Jest to jedyna pamiątka po mojej matce — odrzekła Hortensja.

Po tych słowach dziwna zmiana zaszła w rysach Iffalwiego. Oczy jego spoczęły na Hortensji w niemym przerażeniu, a język jego był przez chwilę jakby sparaliżowany.

— Boże mój! — wyjąkał wreszcie z trudem — czy to możliwe? Teraz wiem dlaczego te rysy były mi tak zagadkowo znane! Nie, nie ma wątpliwości, zostałem nikczemnie oszukany! Herb, mój czysty herb został splamiony przez podłą osobę!

Popatrzył raz jeszcze na portrety w medalionie i dziki okrzyk wyrwał się z jego ust.

— To ona, to ona! — jęczał książę. — Bądź przeklęta, nędzna istoto! Bądź przeklęty podły jej kochanku! Bądź też przeklęte...

Bądź też przeklęte dziecko grzechu — chciał dorzucić, ale słowa zamarły mu na ustach, gdy zobaczył niewinne oczy Hortensji błagalnie zwrócone ku niemu.

Gorąca jego namiętność zamarła, zagasła w jego duszy i Iffalwi widział już w Hortensji tylko nieślubne dziecko swej żony, plamę na swoim honorze.

Żył teraz już tylko jedną myślą, jakby pomścić swój honor i wystąpić jak najostrzej przeciw osobie, która nazwisko jego splamiła.

Nie spojrzawszy nawet w stronę Hortensji, wybiegł szybko z pokoju i po chwili usłyszała młoda kobieta szalony galop oddalającego się konia.

Tak więc skończył się przestrach Hortensji i męka tej strasznej godziny. Ucałowawszy gorąco portrety rodziców, które jak talizman święty uchroniły ją od hańby, podziękowała Bogu gorącą modlitwą, za to, że wysłuchał jej błagalnych wołań.

Ale nagle nowy strach ogarnął młodą kobietę.

Gdyby prześladowca jej wrócił? Lub, gdyby Ilka miała rozkaz strzec ją nadal, pomimo tego, co zaszło?

Zimne dreszcze przeszły po ciele Hortensji na samą myśl, że tak być mogło.

Powiedziała sobie, że musi uciec stąd za wszelką cenę, nawet, gdyby to miało ją kosztować życiem.

ROZDZIAŁ LXXXVIII.

Wyrok sędziowski

Była już późna noc. Willa książęca Iffalwich w Ober-Weidlingen była zupełnie ciemna z wyjątkiem dwóch okien, w których było jeszcze światło.

Księżna cierpiała bowiem na bezsenność i spędzała długie godziny nocne,

chodząc po pokoju. W białym swym negliżu wyglądała jeszcze nadzwyczaj pięknie. Gdy się czuła samotną, bez świadków, znikał z rysów jej skamieniały wyraz nieugiętej dumy, a na twarzy jej malowała się głęboka troska.

Irmgarda Iffalwi załamywała ręce w dzikiej rozpaczy i szeptała coś sama do siebie. Brzmiało to jakby skrucha, oskarżenie samej siebie i bolesna tęsknota.

Wtem usłyszała zbliżający się tętent kopyt końskich.

Głośnym okrzykiem zachęcał jeździec konia do przeskoczenia przez żelazną bramę. W następnej chwili kłusował już rumak po wysypanych piaskiem ścieżkach ogrodu, a potem słychać było głośne, niecierpliwe uderzenie metalowej główki batoga o bramę.

Księżna zadrżała.

Tak późny przybysz, domagający się wstępu w tak dziki sposób, mógł tylko zwiastować nieszczęście!

Nadsłuchiwała z trwogą. Uderzenia o drzwi powtarzały się tak długo, dopóki z wewnątrz ktoś nie odsunął zasuwki.

Później usłyszała głos męża wołający ochryple:

— Psie jakiś, jak długo każesz stać mi przed drzwiami mego domu, jak żebrakowi?

Kilkakrotny świst szpicruty i głośny okrzyk bólu portiera, poinformowały księżnę o humorze jej męża.

Irmgarda zbierała wszystkie siły, aby się opanować, gdy drzwi do sypialni otwarły się i mąż jej stanął przed nią.

Czy ten mężczyzna o dzikich, krwią nabiegłych oczach i z pianą na drżących ustach, był rzeczywiście ten sam, wiecznie wesoły i uprzejmie uśmiechnięty książę Iffalwi?

O Boże, to musiało być coś okropnego, co go tak strasznie zmieniło!

Straszne przeczucie przeszło przez duszę księżnej, lecz zdobyła się mimo tego na pozorny spokój, bo długoletnie ćwiczenia nauczyły ją panować nad sobą.

Trupio - blada, ze zbielałymi drżącymi ustami stała pozornie spokojna naprzeciw męża.

— Co cię tu sprowadziło o tak niezwykłej godzinie, Belo? — zapytała.

Ze spojrzeniem pełnym nienawiści i z podniesioną, jakby do uderzenia ręką, zbliżył się książę do niej, ale w następnej chwili opuścił zaciśniętą pięść.

Świadomość, że godzina obrachunku nadeszła, dodała Imgradzie odwagi.

— Zabij mnie — rzekła spokojnie — zasłużyłam na to i chętnie karę tę poniosę, bo życie jest mi ciężarem!

— Nie — syknął Iffalwi — ponieważ to jest twojem życzeniem, nie umrzesz; będziesz żyła, będąc sobie ciężarem, samą sobie wstrętna! Przyszedłem tu, jako twój sędzia, jako sędzia mego splamionego honoru i chcę dla ciebie wymyśleć tortury, jakich jeszcze żadna kobieta nie znosiła. Twoje życie będzie odtąd jednym łańcuchem cierpień.

Księżna upadła do nóg rozgniewanego męża i błagała go z załamanymi rękoma:

— Litości, Belo! Litości! Zasłużyłam na nią za długie lata cierpienia i szczerej skruchy, które znosiłam bez skargi. Pokutowałam jak żadna inna kobieta! Miej litość nade mną!

— Litość! — powtórzył książę z głośnym śmiechem — nigdy, przenigdy! Dla ciebie nie ma łaski ani przebaczenia, tylko sprawiedliwy wyrok! Nędznico i oszustko! Sądziłem, że wiążę się z kobietą nienagannej przeszłości, a tym czasem zawiodłem się. Dotychczas żałowałem, że mi nie dałaś potomstwa, a teraz dziękuję niebu za to, bo potomek takiej, jak ty, osoby, byłby tylko ród mój zbeszcześcił! Małżeństwo ze mną uważałaś tylko jako środek, aby czystym nazwiskiem pokryć swoją hańbę. Przeklinam cię, nędznico! Miej koniec taki, na jaki zasłużyłaś! Bądź przeklęta po wszystkie wieczności! Abyś nie miała...

— Wstrzymaj się, wstrzymaj! — zawołała Irmgarda zrozpaczona. — Na miłość Boską przestań! Wiem, że ciężko zgrzeszyłam i że nazwisko twoje splamiłam, ale nigdy cię nie okłamywałam, bo cię pokochałam naprawdę od pierwszego spojrzenia. Zawsze jednak, na zdradzie mego szczęścia stało tamto i zatruwało mi każdą chwilę szczęścia. Kochałam cię, Belo, przez wszystkie długie lata naszego pożycia, w których nie miałeś dla mnie czulszego spojrzenia ani słowa, tylko obojętność i milczącą odrazę. Ty jesteś moją jedyną, prawdziwą miłością! Uczucie moje dla Gelliniego było tylko omyłką niedoświadczonego serca. Przyznaję się sama do ciężkiej winy, ale ja ją w dwójnasób odpokutowałam. Zdeptaj mnie teraz jak robaka! Umrę chętnie i błogo z twej ręki, tylko nie wątp o mojej miłości do ciebie.

Zrozpaczona kobieta mówiła z tak przekonywującą siłą, że udało jej się uspokoić wezbrane fale namiętności księcia.

Jego oczy podbiegały jeszcze krwią i patrzyły dziwnie błędnie. Twarz jego była okryta śmiertelną bladością, a głos jego brzmiał głucho, jak głos upiora, gdy odpowiedział:

— Gdy w dawnych czasach, żona któregoś z książąt Iffalwich zgrzeszyła przeciw swemu mężowi, naruszając jego honor, to obrażony małżonek dusił ją własną ręką. Ty zasłużyłaś na podwójną śmierć, ale zostawię cię przy życiu, abym się na tobie w pełnej mierze mógł zemścić. Nie oszczędzę ci żadnego zmartwienia i żadnego upokorzenia, będziesz odtąd musiała przyjmować i gościć u siebie moje metresy i damy z półświatka, bo nie jesteś przecież lepszą od nich. Będziesz musiała mnie niewolniczo słuchać. Wszystkie moje myśli i dążenia skierowane będą tylko na to, aby ci sprawiać zmartwienia i męki. Celem mojego życia odtąd będzie: dręczyć cię i maltretować. Własną ręką katować cię będę! Masz już nagrodę za swoje czyny!

To mówiąc, podniósł szpicrutę, którą w ręku trzymał i uderzył nią w trupio bladą twarz swej małżonki. Nie w dzikim gniewie, lecz z rozważną mściwością, tak ją głęboko upokorzył. Był to początek kar, które wymyślił w szatańskiej swej nienawiści.

Potok krwi puścił się z nosa Irmgardy i zaczerwienił białą jej sukienkę. Siły ją opuściły, zachwiała się i runęła jak długa na ziemię, nie wydając głosu.



Do St. Moritz przybył w celu uprawiania sportów zimowych król Egiptu Faruk. Na zdjęciu młody monarcha, udający się w towarzystwie matki z dworca do hotelu.

Z głębokim wstrętem spoglądał książę przez chwilę na nieprzytomną małżonkę, potem kopnął bezwładne ciało pogardliwie nogą, aby je sprzątnąć z drogi i silnym krokiem i z podniesioną głową opuścił pokój, w którym wymierzył przed chwilą tak straszny samosąd.

ROZDZIAŁ LXXXVIII

Ucieczka

Gdy nieszczęśliwa kobieta odzyskała przytomność, usłyszała oddalający się tętent kopyt końskich. To książę oddalił się. Irmgarda podniosła się z trudnością.

Nie odważyła się dzwonić, aby zawołać kogoś o pomoc. Uczucie doznanej obelgi paraliżowało jej ramię. Nie wiedziała, co powiedzieć dziewczętom, gdy się spytają o powód jej zranienia.

Nocna scena z mężem zbudziła pewnie całą służbę i nawet, gdyby się chciała zdecydować, aby kłamstwem wyjaśnić dziwne zranienie swej twarzy, to była pewną, że służba nie uwierzy jej.

Powodowana wstydem, właściwym wszystkim żyjącym stworzeniom, księżna wsunęła się z trudnością do swej garderoby i chłodziła krwawiącą, bolesną ranę zimną wodą. Mechaniczne to zajęcie przyprowadziło ją do równowagi.

To, co dziś przeżyła, tę godzinę największego upokorzenia i największej hańby, to wszystko przeczuwała już od lat.

Co dzień, co godzinę, oczekiwała odkrycia swej winy. Obawa przed tym odkryciem nie dawała jej chwili spokoju, a świadomość tego, że dzień sądu nadejść musi, dręczyła ją bezustannie.

I wreszcie oczekiwany ten wyrok zapadł i przeszedł najgorsze jej przypuszczenia swym dzikim okrucieństwem.

Gdyby ją Bela zamordował w ślepym gniewie, byłaby chętnie umarła, gdyby ją zamknął w murach klasztoru, byłaby to chętnie na siebie przyjęła i w skrusze i pokorze życie swe zakończyła, ale żyć po to, aby być przez męża stale upokorzoną i poniżoną, to było okropne.

Wyrafinowana nienawiść i mściwość Beli, przechodziła wszelkie możliwości i była raczej szatańską mściwością, niż ludzką.

I to była nagroda za całą jej miłość.

Jeżeli zawiniła przeciwko Beli tym, że została jego żoną mimo swej przeszłości, to uczyniła to tylko dlatego, że namiętnie pokochała pięknego mężczyznę, pomimo, że i inni bogaci i wielcy panowie starali się o jej rękę.

Naraz uderzyła ją myśl, skąd się mąż o tym wszystkim dowiedział? Ale prędko myśl tę odrzuciła, w przypuszczeniu, że to było zrządzenie Boże, kara Boża, która spadła na grzesznicę. Złamana kobieta poddała się już bez dalszego szemrania zasłużonymu losowi.

Była przecież sama przyczyną tego nieszczęścia, jej własny grzech zniszczył jej życie, jej własna wina była powodem wszystkich jej cierpień i straconego szczęścia.

Myśli młodej księżny zwróciły się znowu w przeszłość.

Przed wielu laty, gdy była jeszcze młodą i niedoświadczoną dziewczyną, myślała, że kocha nad życie, bardzo pięknego śpiewaka. W skrytości używała oszałamiającego szczęścia i obudziła się z tego szału wtedy gdy już było za późno. Za późno przyszła do równowagi.

Może życie jej byłoby ułożyło się spokojnie i szczęśliwie, gdyby wybrała jedyny, możliwy środek, to jest, gdyby zeszła ze swej wyżyny i stała się żoną swego mieszczańskiego kochanka.

Jedyny, bliższy jej krewny, stary, umysłowo złamany dziadek, nie byłby zapewne miał na tyle siły woli, aby móc stawiać silny upór postanowieniu swej wnuczki.

giąć, a oprócz tego znikła jej miłość dla
Lecz duma Irmgardy nie dała się na-
śpiewaka, a miejsce jej zajął dziwny wstręt.

Okryła więc swój upadek największą tajemnicą, rozłączyła się na zawsze z ojcem swego dziecka, oddaliła od siebie nieszczęsny owoc zakazanej miłości i była w oczach świata tą samą, co dawniej, dumną i nieprzystępną hrabianką Irmgardą Schusdorf, podobną do czystej lilii.

Myślała wtedy, że rozsądnie i mądrze postąpiła; teraz dopiero nastąpiła skrucha.

Przypomniała sobie długie, samotne, smutne lata małżeńskiego pożycia, w których troska, wstyd i tęsknota były jej nieodstępnymi towarzyszami i mimowoli zapytała się siebie z goryczą, czy los, który wybrała, przyniósł jej oczekiwane szczęście.

Fantazja Irmgardy skomponowała z kolei inny obraz. Widziała się teraz w roli żony mieszczanina, bez herbów i tytułów, ale kochana, wielbiona, noszona na rękach. Widziała cudne dziecko u swego boku i używała słodkiego szczęścia macierzyńskiego, którego się lekkomyślnie pozbawiła. Opanowała ją gwałtowna tęsknota za córką. Księżna widziała dziecko swoje po raz ostatni przed wielu laty, bo od czasu kiedy wyszła za księcia Belę Iffalwi'ego, nie miała odwagi odwiedzić swej pociechy.

Znużona, złamana kobieta mechanicznie przystąpiła do lustra i zobaczyła w nim swą trupio-bladą twarz przez którą ciągnął się szeroki, krwawy pas. Biały jej negliż był także pokrwawiony, a jesne włosy pobudzone.

Nie była to dumna księżna, lecz ciężko upokorzona i potępiona kobieta. Ze zgrozą odwróciła się Irmgarda od lustra i upadła na krzesło, przybita ciężarem opadających ją myśli.

Dzień dzisiejszy wydawał jej się początkiem nowego życia, a afront, który ją dziś spotkał, był pierwszym z całego łańcucha upokorzeń.

Minął czas jej samotności, ale na tym ona nic nie zyskiwała, prócz tysięcznych upokorzeń.

Co za straszny los widzieć codziennie błysk dzikiej nienawiści w oczach mężczyzny, którego się kocha namiętnie.

Co za potworne tortury i jak wielka boleść mieć świadomość, że wszystkie umiarkowania i upokorzenia pochodzą od ukochanej istoty.

Czy można sobie wyobrazić nędzniejsze życie?

Być znienawidzoną, pogardzoną, odpychaną przez tego, którego tak bardzo kochała. Być drażnioną, męczoną, niszczoną przez tego, dla któregoby chętnie swe życie oddała.

Nie, to nie do zniesienia, to było ponad ludzkie siły!

Irmgarda oburzała się przeciwko temu i postanowiła usunąć się przed wyrafinowanymi karami i okrucieństwem męża.

Było zresztą zupełnie jasne, że tu, pod tym dachem zostać dłużej nie mo-

gła. Trzeba się było ratować ucieczką i to jak najrychlej.

Księżna nie zastanawiała się nad dodatnimi i ujemnymi stronami swego planu. Postanowienie jej było niezłomne i nie zwlekała z wykonaniem, bo gwiazdy nocne już gasły, a na dalekim wschodzie różowe obłoczki zwiastowały brzask nowego dnia. Nie było więc czasu do namysłu i zastanawiania się. Jeszcze cały zamek pogrążony był w głębokim śnie i spokoju, miała swobodę działania.

Księżna zdjęła pospiesznie swój zakrwawiony negliż i włożyła ciemną, skromną suknię. Drobne jej ręce nie były do tego przyzwyczajone, to też trwało dość długo, nim toaletę swoją i włosy uporządkowała.

Włożyła na siebie ciemny płaszcz, zeszpeconą twarz zakryła gęstym woalem i już zamierzała wyjść, gdy nagle jakaś myśl skłoniła ją do powrotu. Przystąpiła raz jeszcze do swego biurka, z którego już przed tym wyjęła swoje pieniądze i drżącą ręką otworzyła tajemniczy schowek, w którym leżał nienaruszony, zżółkły czepek i jedwabisty, jasny loczek.

Matka, która niegdyś sama odtrąciła swe dziecko, zapłakała teraz, gdy relikwie wzięła do rąk i przycisnęła je czule do ust. Schowała je potem starannie na swym sercu.

Na palcach, jak złodziej, bojący się przyłapania — skradała się po marmurowych schodach, obłożonych drogimi i pięknymi dywanami. Ostrożnie i bez najmniejszego szelestu otworzyła ciężkie drzwi wchodowe i szła szybkim krokiem po ścieżce, wysypanej żwirem, na której znać było głębokie ślady kopyt końskich.

Dopiero gdy opuściła ogród zamkowy i uszła dobry kawał drogi, odwróciła się i rzuciła jeszcze jedno spojrzenie w stronę zamku.

W czerwonym blasku wschodzącego słońca wyglądał on wspaniale.

Podobnie oświecony, tylko blaskiem zachodzącego słońca, był ten zamek przed wielu laty, gdy książę Bela Iffalwi z triumfem wprowadzał do niego swoją młodą, piękną żonę.

Wtedy zapomniała Irmgrada w szale miłosnym o wszystkich swoich cierpieniach i o swej winie.

Wtedy nie myślała o przeszłości, ani też o przyszłości, myślała tylko o chwili obecnej.

Ale wszystko to prędko się skończyło. Nastąpiła hańba, troska i cierpienia, a wreszcie ucieczka z własnego domu, a może zupełna zguba.

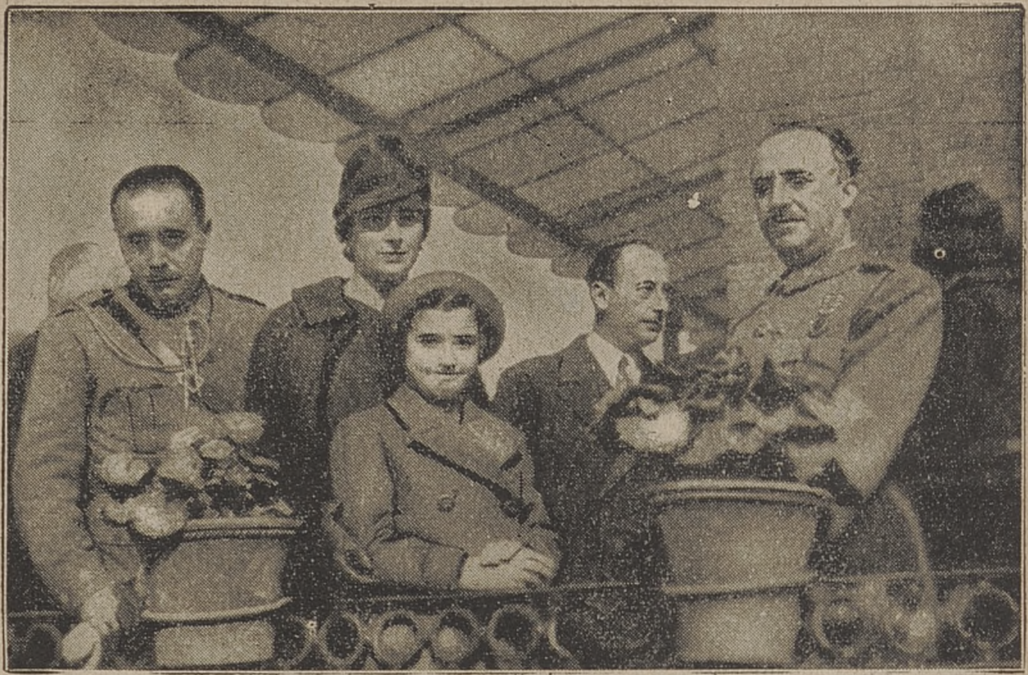
Znękana kobieta westchnęła głęboko, a potem zawróciła na drogę, prowadzącą do stacji kolejowej.

Chciała być już jak najdalej, gdy zauważą w zamku jej nieobecność i wyślą za nią pogoń.

Irmgarda chciała schronić się w góry, do cichej zagrody Felhuberów, gdzie zostawiła swą córkę.

Na sercu własnego dziecka chciała wypłakać swój ból i przy nim zakończyć swoje życie.

— — — — — —



Powyższe zdjęcie przedstawia gen. Franco (na prawo) znanego przywódcę wojsk narodowych w Hiszpanii, z żoną i córeczką, przyglądających się defiladzie oddziałów wojskowych w Salamance.

ROZDZIAŁ LXXXIX

Kochające serce

Życie w leśniczówce szło napozór zwykłym trybem, bo Sylwia dokładała wszelkich starań, aby rodzicom, którzy ją taką czułością otaczali, nie okazać swego smutku i cierpienia.

Bogu tylko skarżyła się w swoich utrapieniach.

Byłaby zupełnie zapomniała o anonimowym liście, gdyż wkrótce potem otrzymała drugi list, pochodzący również z Wiednia i pisany tą samą ręką.

Sylwia otworzyła teraz list z niechęcią i czytała:

„Niewielkie są widocznie względy pani dla pamięci zmarłej swej matki, bo w przeciwnym razie, byłaby podjęła pani małą podróż, aby się czegoś o niej dowiedzieć. Gdyby pani wiedziała, jak ważne wyjaśnienia pani dać mogę, nie zwlekałaby z przyjazdem. Jeszcze jest czas naprawić błąd. Niech pani oznaczy mi w „Dzienniku" miejsce spotkania pod szyfrem: „Polna różyczka" a ja stawię się tam punktualnie i podam pani środki, za pomocą których będzie pani mogła odzyskać kolosalny majątek należący się pani, a zagrabiony przez innych bezprawnie".

— Jakie to dziwne — myślała Sylwia, ukończywszy czytanie — i co za cel ma anonimowy autor tego listu? Czy to miałoby być prawdą, że nie jestem córką mej kochanej mateczki? Czy może ojciec drugi raz się ożenił? Ale dlaczego mi w takim razie tajemniczy gość nie napisał tego otwarcie?

Postanowiła wybadać całą sprawę i gdy zobaczyła leśniczego, wracającego z lasu, wybiegła mu naprzeciw niego i uczepiła się jego ramienia.

— Kochana córeczko — rzekł stary poczciwiec serdecznie — serce mi się zawsze raduje, gdy widzę twoją miłą twarzyczkę! Co za szczęście, że Bóg cię nam uchował, bo byłaś bardzo chorowitym dzieckiem, tak, że baliśmy się twej śmierci. Poczciwa matka niejedną noc przy łóżku twoim przesiedziała.

— Wybacz, kochany ojcze — odrzekła Sylwia cicho i nieśmiało, — ale muszę ci się o coś zapytać: czy byłeś może kiedyś wdowcem?

— Nie dziecko — odpowiedział leśniczy zdziwiony — skąd się wzięła ta myśl? Gdybym utracił Magdalenę, nie byłbym się napewno ożenił po raz drugi, bo nie mógłbym znieść, aby która inna miejsce jej zajęła.

— Dziękuję ci, kochany ojcze — odrzekła Sylwia. — Czy mógłbyś mi jeszcze kilka chwil poświęcić?

— Naturalnie, moja kochana — rzekł leśniczy, a potem dodał zaniepokojony: czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

— Chcę cię o coś poprosić — szepnęła Sylwia.

— Chodź do mojej kancelarii, córeczko — zapraszał ją leśniczy. Sylwia poszła za nim chętnie.

— Kochany ojcze! — zaczęła, składając błagalnie ręce — mam teraz zupełną pewność, że Werner żyje!

— Biedne dziecko — mruknął leśniczy ze współczuciem.

— Jestem przekonana, że baron Sturmfeder trzyma go gdzieś w ukryciu — ciągnęła Sylwia dalej. — Moje usiłowania około wyszukania miejsca jego pobytu były bezowocne i dlatego mam gorące życzenie, oddać tę sprawę w zręczniejsze ręce.

Jednym słowem, chcę to powierzyć zdolnemu detektywowi. Aby jednak zamiar ten wykonać, potrzebuje dużo pieniędzy. Czy możesz mi je dać, ojczulku?

— Oddaję ci do dyspozycji wszystko co posiadam — rzekł leśniczy — ale, że cały mój majątek wynosi 500 reńskich, przeto obawiam się, że ci to nie wystarczy.

— Mogłabym sprzedać fortepian — zawołała Sylwia, rumieniąc się.

Na to nie pozwolę, abyś się pozbawiła jedynej swej przyjemności — rzekł Herbert. — Poradzę ci w jakiś inny



W Berlinie odbył się bal artystów filmowych i właściciele wytwórni filmowych. W balu tym brali również udział przedstawiciele rządu. Na zdjęciu widzimy grupę uczestników balu.

sposób. Zresztą pomówimy o tym z matką. Może ona coś nam pomoże.

We dwoje wyszli z kancelarii, aby poszukać panią Magdalenę. Wkrótce znaleźli ją.

— Matko, prawda, żeśmy tych parę set złotych, które mamy, tylko dla naszej córki uzbierali? — przemówił pierwszy leśniczy.

— Naturalnie — odpowiedziała pani Herbert z uśmiechem na ustach — to wszystko jest dla Sylwii i ona może z tem robić, co jej się podoba.

Sylwia ucałowała ją czule.

— Kochana mateczko! — rzekła z wdzięcznością, a w duszy pomyślała: — I ona nie miałaby być moją rodzoną matką? Nie, to niemożliwe. Tyle ofiarności i miłości można mieć tylko dla własnego dziecka.

Herbert opowiedział teraz żonie o planie Sylwii i dodał, że stoi po jej stronie, a boi się tylko, że nie będą go mogli wykonać z braku dostatecznych środków pieniężnych.

Pani Magdalena wyszła natychmiast i wróciła po kilku minutach z jakąś starą szkatułką. Postawiwszy ją na stół, wyjęła z niej wielką ilość biżuterii, pochodzącej z dawnych czasów.

Ciężkie złote łańcuszki, masywny złoty grzebień, niezgrabne bransolety, mające jednak wielką wartość złota, wszystko to zobaczyła zdziwiona Sylwia i Herbert.

— Moja prababka była córką bardzo bogatego młynarza, — rzekła pani Herbert — i właśnie po niej pozostały te klejnoty. Sprzedamy je, bo Sylwia i tak by tego nie nosiła, bo to niemodne.

— Boję się, że i to nie wystarczy — rzekł leśniczy z westchnieniem.

— W takim razie musiałabym sprzedać płótna przeznaczone dla Sylwii — powiedziała Magdalena. — Pewną część dałam sporządzić, gdy Sylwia skończyła pierwszy roczek. Później wszystkie moje oszczędności szły na zakup konopi i lnu. Przędłam nici i robiłam z nich najcieńsze tkaniny. Często stawałam przed szafą pełną tych płócien i napawałam się widokiem ślicznych, śnieżnie białych sztuczek! A jak cieszyłam się przy tym myślą, że wszystko to będzie na wyprawę dla naszej kochanej córki!

Myśl, że te mozolnie uzbierane skarby, owoce jej pilności i oszczędności, mają przejść w obce ręce, sprawiała dobrej kobiecie wielką przykrość.

Sylwia pogłaskała ją jednak pieszczotliwie i rzekła:

— Kochana mateczko, czyż to płótno mogłoby mieć piękniejsze przeznaczenie, niż to, aby wrócić Wernerowi wolność? Wiedz, że gdy Werner nie powróci, to ja nigdy za mąż nie wyjdę, a gdy będę miała szczęście dożyć powrotu mego najmilszego, to wszelkie nasze wydatki otrzymamy zwrócone.

Kocham go tak bezgranicznie, że nie będzie dla mnie przykrem wejść w jego dom z próżnymi rękoma. Czem jest pieniądz zresztą, czem są bogactwa w porównaniu z szczerze kochającym sercem?

— Masz zupełną rację, moje dziecko — rzekł stary Herbert, kładąc rękę na głowie dziewczyny. — Kochająca kobieta powinna być zawsze gotową do oddania swego majątku, gdy chodzi o uratowanie małżonka. Szanuję twoje uczucia i pragnę ci pomagać w wykonywaniu twoich planów, ile będzie w mojej mocy.

W tej smutnej godzinie odczuła Sylwia na nowo, jakie to szczęście i błogosławieństwo, posiadać takie wierne serca, jakie ona miała. Przy całym swoim niepowodzeniu, była szczęśliwą, bo miała przecież opiekę i pomoc najlepszych pod słońcem rodziców.

Lecz ani rodzice, ani ona nie umieli brać życia inaczej, jak tylko z jego najlepszej strony.

Poczciwy leśniczy wierzył każdej napotkanej osobie a i pani Magdalena miała również każdego człowieka za prawdomównego, a Sylwia znała świat tylko z książek.

Mogło się więc łatwo zdarzyć, że niedoświadczeni ludzie daliby się oszukać przy sprzedaży, gdyby nie okoliczności, związane z sprawą Wernera, które uczyniły Sylwię na wszystko ostrożniejszą.

Zastanawiała się ona teraz głęboko nad tym, w jaki sposób spieniężyć najlepiej płótno, w które matka jej włożyła tyle pracy i trudu.

•Zresztą może wolność, a nawet życie Wernera zależało właśnie od jednego, nędznego banknotu.

W chwili, gdy nad tym myślała, ktoś zapukał do drzwi i w sekundę po tym stary Moszko wsunął swą głowę i zapytał:

— Czy wielmożna panienka potrzebuje może woniących mydeł, perfum i pięknych kart z powinszowaniem? Sprzedałem wszystkie wełniane rzeczy i udaję się znów z powrotem do Wiednia, aby kupić nowy zapas. Może wielmożna panienka da mi jakieś zlecenie.

— Przychodzicie w samą porę, odrzekła Sylwia — bo mam istotnie prośbę do was, kochany Moszku! Usiądźcie na chwilę. Chcę was poprosić o wyświadczenie mi pewnej przysługi.

— Ależ, gdzieżbym ja siadał w pokoju tak wielkiego państwa! — zawołał Moszko — nie, nie, stary Moszko wie co wypada, a co nie wypada.

— Usiądźcie śmiało dobry Moszku, musicie być zmęczeni — nalegała Sylwia, poczem skinęła uprzejmie głową i pospiesznie wyszła.

— Aż miło popatrzeć na tak ładną i dobrą pannę, mruknął Moszko — oby jej Bóg Wszechmocny udzielił długiego życia!

Złożywszy swą ciężką paczkę, czekał cierpliwie na powrót Sylwii.

Wróciła po chwili niosąc tacę z masłem, świeżym chlebem, serem, flaszką wina i szklanką.

— Jedzcie, poczciwy Moszku — nalegała — widzicie zresztą, że nie daję wam mięsa.

— Wielmożna panienka zawsze ma wzgląd na moją wiarę — zauważył handlarz z wdzięcznością. — Czym mogę się wielmożnej panience odwdzięczyć?

— Matka moja ma starą biżuterię — rzekła młoda dziewczyna — chciałabym wiedzieć, w jakiej cenie mogłabym podobną nabyć w sklepie?

— A czy może mi wielmożna panienka pokazać te klejnoty? — spytał starzec, mrugając przebiegle oczyma.

— Mama zaraz je przyniesie; prosiłam ją o to — odpowiedziała — otóż idzie!

Podbiegła do wchodzącej matki i wzięła z jej rąk szkatułkę. Otworzyła ją i zaczęła wyciągać z wnętrza jedną sztukę po drugiej.

Nagle rzekła:

Przecież było tu także pudeleczko z napisem „dla Sylwii"! Gdzie ono jest, czyś je wyjęła może, mamusiu?

Pani Magdalena zarumieniła się i zbladła, wreszcie rzekła niepewnym głosem:

— Tak jest, dziecko, wyjęłam je, bo nie należy ono do tej biżuterii.

Sylwia spostrzegła, że tłumaczenie to nie było bardzo przyjemnym dla pani Herbertowej, rzekła więc żywo do Moszka:

— No, powiedzcież, ile klejnoty te warte?

— Wielmożna panienko — odpowiedział handlarz — ta rzecz ma swoje dwie strony! Jeżeliby panienka teraz chciała kupić te rzeczy, to musiałaby zapłacić za nie więcej niż 1000 reńskich, bo policzonoby panience bardzo wiele za robotę; ale jeśliby panienka chciała te klejnoty sprzedać, to zwróconoby panience tylko tyle, ile waży złoto.

— A ileż to by wyniosło? — spytała ciekawie.

Moszko ważył w ręce każdą sztukę z osobna i rzekł po namyśle:

— Będzie to 18-sto karatowe złoto. Nie mogę panience dokładnie podać jego wartość, ale mniej więcej będzie ona wynosiła z 600 do 700 zł. Spodziewam się jednak, że wielmożna panienka nie sprzeda tych pięknych rzeczy? — dodał ciekawie.

— Przeciwnie, Moszko, jesteśmy zmuszone sprzedać te piękne klejnoty — odpowiedziała pani Herbert w imieniu swej córki.

Głębokie westchnienie wydarło się przy tych słowach z jej piersi, a jej smutny, pełen miłości wzrok spoczął na pięknych rysach córki.

— Boże, Boże, — zawołał Moszko ze współczuciem — czy się panu leśniczemu jakie nieszczęście zdarzyło? O, bo nieszczęście nawiedza zawsze dobrego i uczciwego człowieka! — dodał ze smutkiem.

Sylwia nie odpowiedziawszy na jego pytanie, zagadnęła go:

— Czy moglibyście mi podać jakiegoś uczciwego złotnika, któryby kupił te rzeczy?

— Każdy by je kupił — mruknął Moszko — ale zdaje mi się, że panienkę oszukaliby przy sprzedaży.

— To byłoby wielkim nieszczęściem — szeptała pani Herbert.

— Wie panienka co? — rzekł nagle Moszko — niech mnie diabli do piekła wezmą, jeżeli panience nie sprzedam tych klejnotów, bez centa zysku dla siebie. Gdyby się wielmożna panienka nie wstydziła wejść razem ze starym żydem do sklepu, to moglibyśmy się zaraz udać do miasta i sprzedać te klejnoty. Ja będę sprzedawał, a wielmożna panienka będzie przy tym, aby widziała, że to czysty interes i że na tym ani centa nie zarobię.

— Czy chcecie naprawdę sprzedać mi te klejnoty? — zapytała Sylwia uradowana.

— Pewnie, że chcę — potwierdził stary handlarz — ale wielmożna panienka musi być przy tym, inaczej nie podejmę się sprzedaży.

— Jesteście dobrym człowiekiem, Moszko — rzekła pani Herbert z wdzięcznością.

— Mój Boże — wzbraniał się starzec — człowiek nie jest przecież z kamienia. Nie zapomniałem zresztą o tym, że pani leśniczyna dawała mi gorącą kawę, piwo, albo kieliszek wódeczki! Ja u wielmożnej pani doznawałem dużo dobroci i grzeczności! Pojadę więc chętnie do miasta! Ale, ale, czy wielmożna pani wie, że panienka z tartaku, ta brzydka Róża, zaręczyła się?



W Paryżu odbył się w śródpościu bal dla dzieci. Królem balu został wybrany chłopczyk, którego widzimy na zdjęciu z koroną na głowie.

— Nie, nie wiem o tym! — rzekła pani Herbert.

Mimowoli jednak przyszło jej na myśl że bogata właścicielka tartaku, zechciałaby może odkupić dla swojej córki płótno, które ona tak skrzętnie przygotowywała na wyprawę dla Sylwii.

— Moszko! — zapytała — a czy ona nie kupiłaby ode mnie cienkiego i ładnego płótna? Chciałabym sprzedać wyprawę swej córki, bo potrzebujemy pieniędzy.

Stary handlarz odstawił przestraszony lampeczkę wina.

— Boże mój, Boże, czy to już tak źle z wami? — zawołał z żalem — ile wielmożnej pani potrzeba? Jestem biedny nędzarz, ale o kilkaset reńskich mógłbym się postarać u moich współwyznawców. Niech wielmożna pani mówi ze mną otwarcie. Stary Moszko umie milczeć!

— Wiem o tym, Moszko — rzekła pani Herbert — ale mój mąż nie dałby się pod żadnym warunkiem nakłonić do pożyczki. Musimy więc starać się o to, aby w inny sposób przyjść do pieniędzy, które nam są potrzebne. Najlepiej byłoby, gdyby ktoś prywatnie chciał to płótno odkupić. Jak myślicie, czy możnaby zapytać się o to w tartaku?

— Czemu nie — rzekł na to handlarz poufnie — ale ta pani z tartaku, to bardzo zwykła osoba. Jak ona zobaczy że pani jest w kłopotach pieniężnych, to ona za towar, który wart jest 1000 guldenów da 300. I nie dodałaby pewno ani centa. Jeżeli się chce za jakiś towar osiągnąć dobrą cenę, to nie trzeba ludziom dać poznać, że na sprzedaży tego towaru bardzo nam zależy.

— A więc co począć? — zapytała pani Herbert smutno. Tak mi ciężko rozstać się z zawartością tej szafy, ale potrzeba mnie zmusza do tego. Dla miłości Sylwii oddałbym zresztą wszystko.

Boże, — myślał handlarz — gdyby ludzie nie gadali, że panienka była narzeczoną hrabiego Wildensteina, to myślałbym, że Herbertowie potrzebują pieniądze na posag dla panny Sylwii. Co mnie to zresztą obchodzi na co oni je zużyją. Dość, że potrzeba mi tej sumy i to mi wystarcza.

— Proszę mi z łaski swej pokazać to płótno, wielmożna pani — rzekł po chwili.

Pani Herbert wzięła klucze i wyszła. Stary handlarz poszedł za nią, aż do komnaty, w której znajdowała się olbrzymia szafa. Tę szafę otworzyła leśniczyna. Leżało w niej pełno śnieżnej białości płótna tkanego nadzwyczaj cienko.

— Pyszności! — rzekł zdziwiony — macając i głaszcząc płótno ręką.

— Myślałam zawsze, że Sylwia zrobi świetną partię — rzekła leśniczyna — i starałam się o to, aby miała przynajmniej dużo bielizny stołowej i osobistej, dlatego zgromadziłam to wszystko.

— A ileż tego płótna może być? — spytał Moszko.

Leśniczyna zaczęła go dokładnie informować o ilości i jakości swoich zapasów, a on pilnie zapisywał wszystko do swego brudnego i zatłuszczonego notesu.

— Wie wielmożna pani co? — rzekł po namyśle — pojadę najpierw z panienką do miasta i wrócę z nią. Niech wielmożna pani spuści się na mnie z tym „geszeftem“ płóciennym. Ja się nie dam wykorzystać tej pani z tartaku, bo ja już wiem, co ona za kawałek. Przed nią trzeba się zgiąć jak scyzoryk i dziesięć razy na minutę chwalić jej piękność, rozum i dobroć. Jak się jej pochlebi, to jej można sprzedać zwykły drelich za płótno. Ja już to tak załatwię, że pani nie będzie miała krzywdy. Szkoda zresztą, że na taki towar nie ma lepszego kupca, niż ta baba z tartaku.

Westchnieniem przyznała mu pani Herbert słuszność.



Kolonia włoska w Londynie zamówiła ostatnio miniaturowe odlewy z bronzu, przedstawiające szefa rządu włoskiego — Mussoliniego. Na ilustracji widzimy ilość zamówionych odlewów.

Lekka bryczka, która miała zawieść do miasta starego handlarza i młodą panienkę, zajechała przed drzwi.

— A moją paczkę wolno mi tu zostawić? — zapytał Moszko wsiadając do bryczki.

— Ja ci ją dobrze schowam, nie bój się o nią — rzekła pani Herbert grzecznie.

Patrzyła jeszcze czas jakiś za oddalalającym się wozem, poczem weszła znękana do domu, przysunęła sobie krzesło do szafy i pieściła się długo widokiem płótna. Dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

Wsunęła się na to stara służąca do pokoju, chcąc panią Herbert o coś zapytać.

— Jezusie święty! Pani płacze? — spytała przestraszona — co to się stało znowu?

— Ach, Katarzyno! — łkała pani Herbert — bardzo mnie to boli.

— A co panią boli? — zapytała służąca z współczuciem.

— Patrz, tyle lat przędłaś i płótno to było naszą dumą — rzekła leśniczyna — a teraz będę to musiała sprzedać i dla Sylwii nie zostanie ani kawałka.

— A czy pani musi sprzedać to piękne płótno? — pytała znów przelękniona Katarzyna.

— Tak, bo potrzebujemy pieniędzy — westchnęła pani Herbert.

— Ach, to tylko ta przyczyna?! — zawołała Katarzyna, a stara i pomarszczona jej twarz zajaśniała wyrazem szczęścia. Wybiegła też prędko i po kilku minutach powróciła z starą pończochą, którą czule przyciskała.

— Proszę! — rzekła z triumfem — a my zatrzymamy nasze płótno. Katarzyna nie jest biedną. W pończosze jest 190 guldenów. Oszczędziłam je sobie w służbie u pani leśniczyny, są to więc panine pieniądze i niech sobie je pani zabierze.

— Wierna duszo — łkała pani Herbert wzruszona — dziękuję ci stokrotnie!

Chciała wsunąć Katarzynie pończochę napowrót do ręki, ale stara zaprotestowała energicznie.

— Zabierz to sobie — rzekła pani Herbert. — Jestem ci ogromnie wdzięczną, ale nie mogę korzystać z twojej dobroci.

Dlaczego? — spytała Katarzyna.

— Bo ograbiłabym ciebie, a sobie bym nie wiele pomogła — objaśniała ją pani Herbert. — Suma ta za małą jest dla mnie.

To wydawało się starej służącej niemożliwem. 190 guldenów było w jej oczach już wielkim kapitałem, z którym można Bóg wie co począć. Leśniczyna musiała jej długo tłumaczyć nim dała się nakłonić do zabrania pieniędzy. Bolało ją jednak mocno, że pani Herbert nie przyjęła jej ofiary.

W tym samym czasie toczyła się bryczka tak szybko po wyboistej drodze, że Sylwia i Moszko nie mogli nawet ze sobą rozmawiać.

Młoda dziewczyna patrzyła zadumana na nagie, ogołocone z liści drzewa, na puste pola i zachmurzone niebo.

Gdy Werner ją opuścił, cała natura jaśniała we wspaniałej szacie letniej.

Czyżby natura wraz z nią płakała nad jej straconym szczęściem?

Czy będzie się jeszcze kiedy przechadzała z Wernerem w cieniu zielonych drzew?

Westchnęła głęboko.

Tylko przyszłość potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

Gdy wjechali do miasteczka, powiedział Moszko woźnicy nazwę ulicy i numer domu, w którym mieszkał złotnik.

Po kilku minutach zatrzymali się przed oznaczonym domem.

Handlarz zeszedł ociężale z wozu, Sylwia wyskoczyła lekko za nim.

Moszko wszedł do sklepu złotnika, znajdującego się na dole i zapytał:

— Czy chce pan kupić 18-to karatowe złoto?

— Dlaczego nie? — odpowiedział właściciel sklepu zupełnie obojętnie — jak tylko nie jest skradzione, to kupię.

— Czy wiecie, z kim mówicie? Mówicie z panną Sylwią Herbert — krzyknął Moszko, wskazując brudnym palcem na swą piękną towarzyszkę. — Czy owa wielmożna panienka wygląda na złodziejkę?

— Proszę mi wybaczyć, wielmożna panienko, nie stosowałem tych słów do pani — tłumaczył się złotnik. — Czy mogę prosić panienkę o pokazanie mi tego złota?

Młoda dziewczyna wyjęła biżuterię ze swojej kieszeni i wyłożyła ją na stół sklepowy.

Złotnik wziął lupę i poddał każdy z przedmiotów dokładnej próbie.

— Daremny trud — mruknął Moszko — jak wam mówię, że to jest złoto 18-to karatowe, to możecie mi śmiało wierzyć.

Złotnik wolał się sam przekonać, zważył więc wszystkie przedmioty razem i rzekł:

— Zapłacę wielmożnej panience za to 650 guldenów, ale panienka musi mi przyrzec, że przyśle mi od ojca karteczkę z poświadczeniem, że zgadza się na sprzedaż tych klejnotów. Prawo wymaga bowiem, abyśmy tylko pod tym warunkiem kupowali biżuterię od osób niepełnoletnich.

— Siedemset pięćdziesiąt chcecie powiedzieć — krzyknął Moszko oburzony — Finkel Dawidsohn dawał już nam siedemset, a ja mu wydarłem towar z ręki i wyłajałem go jak oszusta i szachraja. Teraz jednak pójdę przeprosić Finkla Dawidsohna i powiem mu:

— Katolik dawał nam niższą cenę od siebie, Finkelleben.

— Jeżeli Dawidsohn był na tyle głupi, że dawał wam za to siedemset guldenów, to trzeba je było brać — odpowiedział złotnik mrukliwie. — Ja ani grosza więcej nie dam.

Moszko zabrał biżuterię, schował ją do kieszeni i rzekł:

— Chodźmy, wielmożna panienko!

Gdy we dwoje opuszczali sklep, odezwał się znowu Moszko:

— Teraz będzie najlepiej, jak wielmożna panienka zaczeka na mnie w cukierni Simona. Panienka taką dziwną twarz zrobiła, jak opowiadałem o Finklu Dawidsonie...

— A bo dlaczegoście to mówili, Moszko? To przecież nie była prawda — odpowiedziała Sylwia, oburzona na kłamstwo.

Moszko wzruszył obojętnie ramionami i odpowiedział:

— Trochę kłamstwa nie zaszkodzi przy interesie.

— O, tak Moszko — moralizowała Sylwia — kłamstwo jest grzechem, w jakiejkolwiek popełniamy je formie.

— Nu, to ja odpowiem za moje kłamstwo — odparł Moszko — a panienka niech idzie do Simona napić się go-

)Ciąg dalszy na stronie 233.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

KONTAKT KORESPONDENCYJNY NAWIĄZUJĘ CHĘTNIE

„Zmienna". Ze względów zasadniczych nie mogę Pani odpowiedzieć w „Krainie" na list, tak, jak bym chciała, nadmienię tylko, że wybór powieści nie zależy ode mnie i każda powieść jest zawsze dostosowana do charakteru czasopisma popularnego.

Życzliwe słowa Pani, skierowane pod moim adresem, ucieszyły mnie. Chętnie nawiązuję z Panią kontakt korespondencyjny, ale na listy będę odpowiadała zawsze Pani na łamach „Krainy". Łączę mocny uścisk dłoni i niżej przedrukowuję kilka zdań, wyjętych z listu Pani:

„Z dniem dzisiejszym powiększam grono Sympatyków „Krainy". Według przyjętego zwyczaju, no i w celu bliższego poznania mnie przez całą „Rodzinkę", rzucę kilka słów o sobie:

Rysy twarzy — stanowczo nieregularne, cera ładna i dużo wdzięku, włosy jasne, wzrost średni, całość może nieszpetna, ale daleka od nazwy — ładna.

Malarstwo, muzyka, konie i taniec — oto moje upodobania.

Jeżeli ktoś ma ochotę nawiązać ze mną korespondencję, niech napisze do mnie z przeświadczeniem, że na list otrzyma miłą odpowiedź. Adres mój: poste — restante, Uniejów. „Zmienna".

„Wirrycie", jeżeli jesteś jeszcze samotny, napisz do mnie!"

CZEKAM...

Wieczór. — Świat poszarzał w cichej nocy cieniach,
Za oknami skrzypią głucho drzewa stare
I mrok się coraz więcej rozprzestrzenia
Dokoła fioletem beznadziejnie szarym. —

Poprzez tę głuszę dziwną, nieco senną,
Wspomnienia płyną ku mnie cichą, dobrą falą,
Wspomnienia chwil, co w życia szarzyznę codzienną
Wplotły się jasnym pasmem, beztroskie, bez żalu.

Pogodne dni sierpniowe... jasne, pełne słońca,
Wrzosy liliowe... w słońcu prawie złote
I ciche słowa, kochaniem gorące,
Co mi duszę na zawsze oplotły tęsknotą.

Codzień przerzucam listy spiesznie, gorączkowo,
A serce w piersiach tętni, nadzieją pijane...
Nie ma nic... i wiem, że czekał będę znowu
I tęsknił... w noce ciche, nieprzespane.

„Zmienna".

SZYBKA DECYZJA OPŁACI SIĘ NAPEWNO!

„Barcia". W jednym z tegorocznych numerów „Moich Powieści", ukazał się apel „Barci". niestety, został on pominięty milczeniem. A „Barcia" czeka i czeka na liściki od nieznanych! W międzyczasie zaś pisze do mnie:

„Nie zainteresował się jeszcze nikt moją skromną osobą, a szkoda, bo chciałabym bardzo wymieniać skimś liściki. Pani Zosiu, proszę o interpelację, aby i do mnie ktoś napisał"...

Interpeluję więc, zgodnie z prośbą, do tych wszystkich, którym zależy na rzeczowej korespondencji, aby napisali do „Barci". Szybka decyzja opłaci się na pewno! Szczególnie proszę o zainteresowanie się „Barcią" — „Blankę", „Duśkę", „Baśkę", „Bajkę", „Dumkę". „Smutną Irkę", „Złoteńko", „Wirryta", „Cisa", „Waldego", „Latorośl Kaszubską", „Ord - Oma" i „Czarnego Drypsa", których to Sympatyków darzy „Barcia" szczególną życzliwością i sympatią.

LIST Z DALEKICH, OBCYCH STRON

„Zrównoważony". Chciałby Pan należeć do naszej olbrzymiej „Rodzinki" — a więc chętnie Pana do niej przyjmuję, oraz zwracam uwagę wszystkich miłych Pań na poniższy list:

„Otrzymałem posadę w dalekich, obcych stronach i żyję tutaj z dnia na dzień, próżno oczekując jakiejkolwiek zmiany losu. Czuję jednak, że to oczekiwanie jest zupełnie bezowocne, dla tego piszę do „Krainy", z nadzieją, że stamtąd przyjdzie jakieś radosne wydarzenie.

Piszcie do mnie wszyscy szczerze i otwarcie, a na każdy list dam natychmiastową odpowiedź.

Zainteresowałem się „Półdiablem Weneckim". Czy Pani ta zechce do mnie napisać?"

ŻYCZENIE WYPEŁNIAM Z MIŁĄ CHĘCIĄ

„Sława". Bardzo mi przykro, że mimowoli zmieniłam pseudonim Pani, ale... „co się stało, nie odstanie", prawda? Pełna życzliwości ślę Pani uścisk dłoni i z miłą chęcią wypełniam życzenie, t. zn. oddaję do przedruku kilka słów z listu Pani:

„Całej „Krainie" przesyłam serdeczne pozdrowienia.

„Półdiablu Weneckiemu" — siostrzany uścisk dłoni. Może Pani napisze do mnie, odpowiem chętnie!

„Markowi" w odpowiedzi: „Kobieta — przyjaciel"? Przyjaźń to bardzo piękne uczucie, ale jeżeli chodzi o kobietę i mężczyznę, to moim zdaniem, w 99 proc. nieziszczalne"...

ZAPYTANIE

„Wesoły Toruniak" przesyła za moim pośrednictwem pozdrowienia: „Irce z Torunia", „Niebieskookiej Toruniance", „Przedwiośniu" i „Dumce". Równocześnie zapytuje, czy któraś z wymienionych Pań nie zechciałaby nawiązać z Nim korespondencji.

MALEŃKI TRUD MOŻE SIĘ SOWICIE OPŁACIĆ...

„Skrzywdzony Poznańczyk". Wczuwam się w położenie Pana i rozumiem, że to przykro siedzieć bezczynnie, a już najgorzej czuć ten palący, ustawiczny głód pracy. Mogę Panu polecić tylko jedno: starać się usilnie o jakiekolwiek zajęcie. Wraz z wiosną rozpoczną się różne sezonowe prace, może, więc uda się Panu cokolwiek zdobyć. Proszę obserwować ogłoszenia w gazetach, ewentualnie podać samemu inserat, dalej przepytywać się o pracę w różnych przedsiębiorstwach, biurach pośrednictwa pracy itd. Maleńki trud może się sowicie opłacić — radzę więc go podjąć. Osobiście życzę Panu wiele szczęścia w wszelkich zamierzeniach i ślę Panu przyjazny uścisk dłoni.

Liścik Pana zamieszczam:

„Jestem 26-letnim blondynem, średniego wzrostu o ciemnych oczach i bujnej czuprynie. Ukończyłem 5 klas gimnazjum i obecnie jestem bez posady. Powszechnie mówią, że jestem miłym i delikatnym w obejściu.

Hallo! Wesołe Kujawianki! Może któraś z Was do mnie napisze? A może jakaś Pleszewianka się odezwie? Pleszew to moje rodzinne miasto. Ucieszę się również jeżeli skreśli do mnie kilka słów i któryś z Sympatyków.

Pozdrawiam serdecznie — „Mirigę", „Półdiable Weneckie", „Adę z pod Wolsztyna" i „Jadźkę z Kujaw".

OCZEKUJĘ Z NIECIERPLIWOŚCIĄ

„Urszulka z pod Grudziądza". Treść pocztówki Pani przyjęła najpierw do wiadomości administracja, a następnie ja. Dziękuję Pani za serdeczność i z niecierpliwością oczekuję na zapowiedziany list.

TRUDNO MI UWIERZYĆ...

„Baśka z pod Koła". Śliczny liścik Pani przeczytałam raz i drugi i dopiero daję Pani na niego odpowiedź. Pisze Pani o białych puchach, o płotach ubielonych szronem, o srogiej zimie — mimowoli spoglądam w okno, by zobaczyć to wszystko i widzę tylko szare chmury na niebie i błoto na ziemi. Trudno mi uwierzyć, że to już przedwiośnie, gdyż cała jestem jeszcze pod urokiem pięknego obrazu zimy, jaki mi Pani odmalowała w swoim liście.

Dziękuję Pani za miłe słowa skierowane pod adresem „Moich Powieści" i „Krainy", pozdrawiam Panią i udzielam Pani na zakończenie głosu:

„Hallo! „Bursztynowe Serduszko"! Dziękuję Ci za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Może napiszesz do mnie pierwsza?

„Lakoniczku", proszę, przyjm ode mnie serdeczne pozdrowienia.

„Fakirze", jak mam sobie wytłumaczyć Twoje milczenie? Moc pozdrowień!

Pozdrawiam również serdecznie „Zochurka", „Sierocą Dolę", „Gałązkę Świerku" i „Waldego". Która z wymienionych osób napisze do mnie?""

WYSTARCZY

„Dzikuska". Naturalnie — nie gniewam się na Panią — wystarczy, że nie zapomniała Pani o mnie i o „Krainie". Załączona do listu fotografia — bardzo ładna. Zamieszczę ją wkrótce. Wzruszyła mnie Pani swoim liścikiem, który częściowo, ze względu na jego miły styl, podaję do ogólnej wiadomości:

„Droga p. Zofio! Pisząc te słowa, czuję w sercu swoim radość. Życzę jej wszystkim Sympatykom „Krainy". Zasługą tej radości to zapewnie słonko, które zajrzało do mnie przez szybę okna i rzuciło garść promieni na biurko. W tych jasnych promykach piszę o sobie, gdyż dotychczas mało pisałam.

A więc każdy dzień wypełnia mi praca, którą kocham, gdyż daje mi ona poczucie zadowolenia i tyle radości, gdy za własne pieniądze mogę zrobić jakąś przyjemność mej rodzinie. Dla swego otoczenia staram się mieć zawsze słoneczny uśmiech i życzliwe słowa, bo jestem przekonana, że byłoby mniej smutnych i zawiedzionych, gdyby każdy myślał mniej o sobie, a więcej o drugich.

No, ale widzę, że za dużo piszę o sobie, więc na zakończenie przesyłam „Marice" moc pozdrowień i wyrazy sympatii, „Wiarusa — Murzynka" proszę o miły liścik, „Opuszczonemu Marynarzowi" i „Czarnemu Drypsowi" ślę milutkie uśmiechy i wiadomość, że chętnie z Nimi podyskutuję".

„CZY ZNAJDZIE?"

„Nowicjusz". Rada Pani podoba mi się to też wkrótce wprowadzę ją w czyn. Dziękuję Panu za pomoc w niezwykle trudnym do rozwiązania problemie i ślę Panu miły uścisk dłoni.

Kilka słów z listu „Nowicjusza":

„Wesołej Adzie" przesyłam serdeczne pozdrowienia i proszę ją o nawiązanie ze mną korespondencji, względnie o podanie numeru swego telefonu i dokładnej godziny swoich „przyjęć telefonicznych".

„Wesoła Marietto"! Byłoby mi bardzo miło nawiązać z Panią dyskusję!"

„Biała Wala" z koleżanką! Czy znajdzie u Pani otwarte podwoje skromny liścik?"

DOBRZE JEST MARZYĆ...

Dobrze jest marzyć w wieczornej godzinie
I szczęście wróżyć z gwiazd tysiąca,
Lub słodko śnić o drogiej dziewczynie,
Gdy w sercu miłość jest gorąca...

„Fakir".

MARZEC

Na strychu, w białym dworku coś straszy uparcie:
Najpierw sypie ktoś równo żwir drobny czy piasek,
Później słychać mitrowe, szybkie harce czarcie
A przed front pojazd — widmo zajeżdża z hałasem.

Lęk ogarnia mieszkańców — szepczą modlitw słowa...
Dreszcz wstrząsa ich ciałami... z trwogi bledną twarze....
Na wierzchołkach drzew starych symfonię wichrową
— Pieśń odwieczną wygrywa żywiołowy marzec.

Coś się z trzaskiem przewraca... ktoś w szybę uderzył....
Coś wyje przeraźliwie w szerokich kominach...
W kredensie brzęk się rozległ tłuczonych talerzy....
— — — — —
Na rynnach wiatr wydzwania godziny poczynań.

M. Mszczycka.

PRZYJĘLIŚMY DO WIADOMOŚCI

„Fakir“. Pierwszej prośbie Pana uczyniłam w pełni zadość, drugą wypełniam częściowo, gdyż wierszyki Pana — „Żal“ i „W marzeń godzinie“, nie nadawają się do druku. Dobry jest tylko króciutki wierszyk „Dobrze jest marzyć“ i ten też zamieszczam w dzisiejszym numerze.

Cenne uwagi Pana, dotyczące ulepszeń naszego czasopisma, przyjęliśmy do wiadomości. Dziękujemy Panu za nie i serdecznie pozdrawiamy.

JAK NAJPRZYCHYLNIEJ!

„Kujawianka“. Do prośby Pani odnoszę się jak najprzychylniej i w następnym numerze zamieszczę zdjęcie Pani. Łączę miły uścisk dłoni!

DZIĘKUJĘ!

„Rewelersowi“ i „Mixerowi“ bardzo dziękuję za nadesłane pozdrowienia.

ODPOWIEDZI DAJĘ KOLEJNO

„Zwiędły Chryzantem“. Do redakcji wpływają codziennie dziesiątki listów, więc nie mogę dawać odrazu na wszystkie odpowiedzi, lecz muszę czynić to stopniowo, tak, aby nikogo nie skrzywdzić, a wszystkich zadowolić. Teraz rozumie Pan, dlaczego dopiero po paru tyg. otrzymuje zwykle odpowiedź, prawda?

Załączone wiersze — „W marzeniach“ i „Śnię o tobie“ — przekazałam Wujkowi Januszowi. W następnym numerze otrzyma Pan ocenę.

Dziękuję Panu za pozdrowienia, przesyłam moc swoich i czekam znowu na nowy liścik.

„SAMOTNOŚĆ CHCIAŁABYM UROZMAICIĆ SOBIE LISTAMI“

„Ninette“. Na pierwszy list już dałam Pani odpowiedź, ostatni — przedrukowuję niżej:

„Czy „Ikar III.“ napisałby do mnie? I ja lubię samotność i samotność tą chciałam sobie urozmaicić listami. Ale może odezwie się Pan pierwszy?

„Fotoamator“. Czy chce Pan korespondować z kimś z Bydgoszczy? Miło by mi było otrzymać list od Pana, gdyż podobnie jak Pan, niejedną miłą chwilę spędziłam nad Gopłem.

„Słodka Danuś“! Niech Pani napisze do mnie chociaż kilka słów. Odpowiedź dam napewno! Podoba mi się Pani bardzo!

Dla „Dida“ i „Latorośli Kaszubskiej“ przesyłam szczery uścisk dłoni.

Hallo! Toruń! Ela, Romek i dzieciarnia! Odezwijcie się!

P. Maryla Waszakówna, Grochowiska! Zasyłam Ci moc całusów i pozdrowień. Czy mnie poznajesz?“

POZDROWIENIA DLA „EDWARDA VIII“ I „SIMPSON“

„Mignon“. Listu Pani jeszcze nie przekazałam gdyż „Pustelnik z nad Drwęcy“ nie nadesłał mi dotychczas swego adresu.

Za pozdrowienia bardzo Pani dziękuję i, na zakończenie, zamieszczam parę słów Pani:

„Dla sympatycznej „pary królewskiej“ „Edwarda VIII. i „Simpson“ przesyłam moc serdecznych pozdrowień“.

APEL ZAMIESZCZAM W TROCHĘ ZMIENIONEJ FORMIE

„Wesoły cowboy“. Apel Pana zamieszczam bardzo chętnie, ale w trochę zmienionej formie, gdyż inaczej przyprawiłby wrażliwszych Czytelników o chorobę, z powodu nadmiernego śmiechu. Oto wspomniany apel:

„Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Proszę napiszcie do „Wesołego cowboya“, a w odpowiedzi otrzymacie długi list. Jestem wysmukłym blondynem o czarnych włosach, myślących oczach i bardzo wesołym usposobieniu. Przesyłam bratni uścisk dłoni całemu zespołowi „Krainy“, a wszystkim smutnym osobom słowa pociechy“.

ZAWÓD PRAGNĘ WYNAGRODZIĆ

„Czarny Saturn“. Chciałabym w jakikolwiek sposób wynagrodzić zawód Pana, dlatego proszę Pana o postawienie w następnym liście znowu jakiegoś życzenia. Płaczę razem z Panem, że cała poprzednia sprawa wypadła tak niefortunnie!...

Pozdrawiam i przekazuję w imieniu Pana moc serdeczności p. Jadzi Suleckiej z Barcina.

MIŁEJ ZABAWY!...

„Mika — milutki urwis“. W chwili, gdy piszę te słowa — „Mika — milutki urwis“ — napewno korzysta już z wakacyj, prawda? Życzę więc Jej miłej zabawy i zapomnienia na chwilę... o geografii.

Przyjaciołom „Miki“ przekazuję kilka poniższych słów:

„Hallo! Tu ja, „Mika“! Przesyłam serdeczne uściski „Banialuce“, „Półdiablu Weneckiemu“ i pozdrowienia wszystkim kolegom „po fachu“.

CHOCIAŻ ŻYCIE UŁOŻYŁO SIĘ TAK ŹLE...

„Czarująca Nina“. Pana C. P. znałam doskonale — to mój kolega szkolny. O śmierci jego dowiedziałam się już wcześniej. Pamięć o nim, podobnie jak Pani, zachowałam jak najlepszą. Łączę dla Pani miły uścisk dłoni i... niech Pani uśmiechnie się, pomimo, że smutno w serduszku i życie Pani ułożyło się tak źle.

„Czarująca Nina“ komunikuje Sympatykom:

„Tu - Ryszard“, chciałabym nawiązać z Panem korespondencję, ale pod warunkiem, że Pan napisze pierwszy.

„Samotny Romie“, przypomina mi Pan kogoś — proszę o kilka słów.

„Mariko“, zainteresowałam się Panią. Może napisze Pani do mnie?

„Słowa uznania ślę tym, którzy zamieszczają w „Krainie“ śliczne wierszyki. Może ktoś poświęci mi swój utwork?

Na zakończenie pozdrawiam: „Słodką Danuśkę“, „Carmen“, „Czarnego Drypsa“ i „Wiarusa — Murzynka“.

„...KTO POZNAŁ JUŻ TWARDĄ SZKOŁĘ ŻYCIA“

„Czeremcha“. „Pragnę korespondować z kimś, kto poznał już twardą szkołę życia, a mimo to nie wyrzekł się ideałów i na swym niebie gwiazd nie pogasił. Z promieniem budzącej się wiosny ogarnia mą duszę uczucie radości i wesela, radabym uścisnąć cały świat i wszystkich ludzi, i sprawić, by pierwszy świergot ptaków, zapach kwitnącego bzu i czeremchy, posiał w sercach ludzkich uśmiech szczęścia i nadziei w lepsze jutro“.

Autorkę powyższego, ślicznego liściku, pozdrawiam jak najserdeczniej i proszę Ją o dalszą pamięć o „Krainie“.

LIST UCIESZYŁ MNIE

„Aloha“. „Chociaż zima na świecie i srogi mróz, w duszy mam radość wiosny i szczęście przeogromne...“

List Pani złożony mniej więcej z takich zdań, jak powyższe, ucieszył mnie bardzo. Miło bowiem odczytać podobne słowa po listach, pełnych goryczy i żalu. To tak samo, jakby ktoś zobaczył na niebie zasnutym szarymi chmurkami jasny promyk słonka.

Za ten liścik — jasny promyk — dziękuję Pani, „Aloho“ i czekam na nowy znak.

Wierszyk — „Wspomnienie“ — miły, ale miejscami posiada niedociągnięcia. Może go Pani poprawi, a może napisze inny wiersz?

ODEBRAŁAM

„Boluś“. Pocztówkę z Kruszwicy odebrałam — bardzo dziękuję.

KAŻDY CZŁOWIEK JEST POTRZEBNY

„Jerychonka“. „Gdzie tylko zwrócę się, czuję się zbyteczną i stale mam wrażenie zupełnie niepotrzebnego człowieka“. — piszesz, „Jerychonko“, w swoim liście. Powinnaś się wyzbyć tych wrażeń, Kochanie, bo są one zupełnie zbyteczne i nie na miejscu. Każdy człowiek jest potrzebny i pożyteczny, jeżeli spełnia jakieś zadanie. Zadanie to może być zupełnie skromne i małe, ale wypełniane dobrze i uczciwie — da nam zawsze poczucie osobistej wartości i pewność, że nie jesteśmy ludźmi niepotrzebnymi, ale pożytecznymi i niezbędnymi na odcinku naszej pracy. Pamiętaj o tym, „Jerychonko“ i pisz do mnie jak najczęściej. Odpowiem Ci zawsze chętnie!

Na zakończenie zamieszczam kilka Twoich słów:

„Siostra moja prowadzi bardzo rozległą korespondencję, a ja, widząc z jaką radością odczytuje listy, zapragnęłam również nawiązać z kimś korespondencję. W tym celu apeluję do członków olbrzymiej „Rodzinki“, aby napisali do mnie. Życie dało mi już dużo zawodów i rozczarowań — może więc tym razem będzie dla mnie łaskawsze?...“

A MOŻE JEDNAK...

„Uesumi“. Bardzo mi przykro, że opuszcza Pan „Krainę“. A może jednak te powody, które zmuszają Pana do zerwania kontaktu z nami, dałoby się usunąć? Cieszyłabym się bardzo! Pozdrawiam Pana i czekam na zapowiedziany list!

Teczka Wujka Janusza

ŻAŁUJĘ...

„Przedwiośnie“. Szczęśliwy ten, kto posiada w sercu tyle zapału i młodzieńczej wiary w przyszłość co Pani. Żałuję, że rozporządzam taką małą ilością miejsca, gdyż w przeciwnym razie, przedrukowałbym liścik Pani, aby natchnąć innych zapałem młodości, tak, aby jednogłośnie powtórzyli za Panią: „gaudeamus igitur iuwenes dum sumus!“

Do listu Pani, o którym wyżej wspomniałem, powrócę jeszcze nie raz, bo zawsze chętnie powracam do tego rodzaju listów.

Łączę dla Pani moc serdeczności i czekam z niecierpliwością na list, zawierający wspomnienia Pani z Brazylii.

KILKA SŁÓW A PROPOS NADESŁANEJ POCZTÓWKI

„Nieznajomy 220 — 380“. Pocztówka Pana dostała się do moich rąk. Przeczytałem ją raz i drugi, myśląc, że nie rozumiem dobrze Pana, ale okazało się, że to Pan mnie nie rozumie.

Dla początkujących poetów jestem zawsze pełen kurtuazji i pobłażliwości, ale dla tych, którzy popełniają plagiaty, stroją się w piękne piórka cudzych myśli, lub nie potrafią pisać dobrze po polsku, a występują z zbyt wielkimi pretensjami, dla tych mam mało względów. To wszystko, co mogę Panu powiedzieć á propos nadesłanej pocztówki.

Ucieszę się, jeżeli nadeśle mi Pan swój wierszyk do oceny. Zdaje się, że nie będę zbyt ostrym krytykiem...

Jak najserdeczniej Pana pozdrawiam!

WIERSZYK ZAMIESZCZAM

„Te - Em“. Dziękuję Panu za nadesłane pozdrowienia w imieniu swojem i Pani Zofii. Wierszyk zamieszczam. Nowelki może Pan nadsyłać i ilustrowane, oczywiście! Serdecznie Pana pozdrawiam!

NA DZIEŃ IMIENIN

OJCU,
w dniu imienin,
poświęcam.

Jest cudny ranek... Podniosłem powieki
I pomyślałem o Tobie, mój Ojcze...
Jakieś wspomnienie przez myśl mą przecieki
I jakiś obraz przychodzi przed oczy.

Jest cicho wokół i tak jakoś smutno,
Nikt tutaj u nas nie ma dziś imienin,
Życie jest takie, jak w kinie na płótnie
I płyną, Ojcze, ku Tobie życzenia.

Dlaczego teraz nie mogę być z Tobą
I ująć w ręce złoty puhar wina?...

To nic... O jedno dzisiaj Ciebie proszę:
Przyjmij życzenia od Twojego syna...

„Te - Em“.

Raj kobiet

Pisanki

Zafrasowani zdarzeniami i kłopotami życia codziennego, bezwolnie przyczyniamy się do tego, że wiele



pięknych tradycyj zanika zupełnie, zarówno jak i związane z nimi wierzenia.

Coraz mniej spotyka się w mieście jaj barwionych i pisanych, coraz mniej czasu mamy na to, aby ozdobić stół wielkanocny pisankami — wynika to często kroć z tego, że „wyszliśmy już z wprawy" i nie wiemy, jak się to robi.

To, co przekazała nam tradycja, umiejętność, która przechodziła z rodziny na rodzinę, z pokolenia na pokolenie — zostało dziś jakoś na drugim — a bodajże na ostatnim planie.

Nie wszyscy wiedzą, jak daleko sięga historia pisania i barwienia jaj i jakie do tego przywiązano znaczenie.

Przypomnijmy to sobie.

Ot, tak— chociażby z powodu nadchodzących Świąt Wielkiejnocy.

Już Owidjusz i Plinjusz wspominają o barwieniu jaj. Znane są również wierzenia starożytnej Grecji i Rzymu, które przywiązywały do jaj moc odpędzania złych duchów. Dom, naprzykład, w którego fundamentach wmurowana była skorupa jajka, zabezpieczał jego mieszkańców przed złymi siłami i dawał rękojmię zdrowia i szczęścia.

W Persji oddawna już i dotychczas istnieje zwyczaj, że dobrze sobie życzący ludzie obdarowują się w dzień Nowego Roku pięknie złoconemi jajami.

Królowie francuscy w średniowieczu rozdawali na Wielkanoc dworzanom swoim i damom dworu jajka barwione i zdobione, a kto dostał najpiękniejsze — mógł być pewien łaski królewskiej.

W Polsce, jeszcze w czasach pogaństwa, jajko było symbolem odradzania się przyrody i wiosny. Każdy starał się aby ta jego wiosna była jak najpiękniejsza, więc ozdabiał jaje jak mógł najpiękniej.

Wytworzyła się pewnego rodzaju „konkurencja" która przez wieki dała wyraz imponującemu w wynikach rozwojowi wzorów ludowych, będących zawsze dla artystów-malarzy ideałem, szczytem harmonii barw i rozmaitości pomysłów.

Jak się robi „pisanki?

Jest kilka sposobów. Podajemy najłatwiejszy. Przede wszystkim — jak malarz bez pendzla, jak rzeźbiarz bez dłóta, nie zasiądą do pracy — tak my do „pisania" jaj nie przystąpimy bez pióra i kałamarza. Piórem będziem w tym wypadku lejkowata rurka, której otwór górny może mieć 6—8 mm, a dolny 3/4 mm. Mianem kałamarza nazwiemy chociażby pudełko blaszane, albo inne naczynie w którym roztapiamy wosk.

Piszemy na jajku, wykorzystując właściwość przyczepności wosku. Piszemy w ten sposób, że linie cieńsze robimy bardzo szybko; wolniejszy ruch „pióra" daje linie grubsze.

Osoby niewprawne najlepiej zrobią, gdy przed przystąpieniem do zdobienia narysują sobie na jajku wzór ołówkiem.

Po „napisaniu" — przystępujemy do barwienia.

Możnaby wiele jeszcze napisać o rodzajach roślinnych i chemicznych farb do jaj. Poprzestajemy jednak na tym, pozostawiając „piszącego" jego własnemu pomysłowi.

Farby do jaj dostać można w każdym składzie aptecznym, a przy każdej torebce podany jest dokładny sposób użycia.

Na zakończenie tylko przypomnieć trzeba, że aby zabarwić jaja na zielono, wystarczy ugotować je w odwarze liści młodego owsa. — Na żółto ślicznie barwią się jaja, jeżeli do wody dodamy łupinek z cebuli. Naddając ilość tych łupin, otrzymamy jaja żółte lub bronzowe poprzez całą gamę tych barw. Pisanki trzeba następnie potrzeć skórką ze słoniny, aby nabrały połysku.

M. S. S.

DOBRA GOSPODYNI

Bardzo łatwa i tania babka. Jeden litr mąki, z której czwartą część rozczynić z letnim mlekiem i dkg. rozpuszczonych drożdży i postawić w cieple. Tymczasem ucierać na misce dużą łyżkę świeżego masła z dwoma żółtkami i dwoma całymi jajami. Dodać trochę soli, trochę skórki cytrynowej lub pomarańczowej drobno usiekanej z 12 dkg cukru, wsypać resztę mąki, wlać wyrośnięty rozczyn i dokładnie wyrabiać, póki ciasto od ręki nie odstanie. Jeśli za gęste, dolać trochę letniego mleka, potem włożyć do formy wysmarowanej masłem i wysypanej mąką, a gdy w cieple wyrośnie, wstawić do średnio ogrzanego pieca na godzinę. Po upieczeniu i wyrzuceniu z formy posmarować babkę roztopionym masłem i obsypać grubo cukrem z wanilią.

Babka włoska. Ćwierć funta świeżego masła utrzeć na pianę, dodać 6 żółtek, ćwierć litra mleka lub śmietanki, ćwierć kg cukru, pół kg mąki, 12 dkg obranych rodzynków, pół laseczki wanilii, pianę z trzech białek, wkońcu 10 gramów dwuwęglanu sody i 20 gramów kremor tartari. Proszki te przesiać, wymieszać lekko z ciastem, które włożyć do formy, wysmarowanej masłem i wysypanej mąką i piec przez trzy kwadranse w średnio ogrzanym piecu.

Mazurek oszczędny (bardzo dobry). Pół kg mąki 3 żółtka, jedno całe jajko, ćwierć litra słodkiej śmietanki, 24 dkg cukru, 24 dkg masła, 24 dkg rodzynków, trochę skórki cytrynowej, zagnieść razem. Rozwałkować ciasto w formie placka, włożyć na blachę, wysmarowaną masłem, posmarować żółtkiem, posypać siekanymi migdałami i wstawić do niezbyt gorącego pieca na pół godziny.

Mazurki pomarańczowe. Ugotować w wodzie 4 pomarańcze, nakłówszy je w kilku miejscach; gdy będą miękkie, wyjąć z wody. Gdy wystygną, pokrajać w plastry i podsmażyć lekko w syropie.

Zrobić kruche ciasto z pół kg mąki, 12 dkg masła, 12 dkg cukru, i 2 jaj, rozwałkować i upiec w piecu. Następnie ułożyć warstwę smażonych pomarańczy, posypać grubo siekanymi migdałami i wstawić w piec do obsuszenia.

Placek z kruszonką. Zrobić ciasto z 50 dkg mąki 12 dkg masła, 25 dkg cukru, 1 szklanki mleka, 2 jaj, rozmieszać wszystko dobrze, dodać 2 paczki drożdży, ubić jeszcze raz i wyłożyć ciasto na blachę. Zrobić kruszonkę w ten sposób: rozpuścić 4 dkg masła na blasze, zdjąć i wmieszać 1 łyżkę cukru, 5 dkg parzonych startych migdałów i 2 łyżki uważając aby kroszonka była sypka, jeśli potrzeba można dodać mąki. Placek ostrożnie piec, nakryć blachę papierem, aby kruszonki nie spalić.

Doskonały kruchy placek na białkach. Ubić pianę z 7 białek i 14 dkg cukru, dodać 7 dkg oparzonych, startych migdałów, sok i skórkę z połowy cytryny, wmieszać 14 dkg mąki, 1 łyżeczkę proszku drożdżowego, 12 dkg chłodnego rozpuszczonego masła. Wymieszać wszystko doskonale, wyłożyć na blachę i piec 3 kwadranse. Po wyjęciu przekroić na pół, przełożyć osączoną konfiturą, lub marmeladą i olukrować glazurą rumową.

Placek z serem. Na blachę wysmarowaną masłem rozciągnąć ciasto jak na placki, mniej dobrze zarobione i nałożyć na wierzch następującą masę: Świeży twaróg, uwiercić w donicy z kilku łyżkami śmietany, kilku żółtkami, cukrem i cynamonem, dodać małych rodzynków, wymieszać wszystko razem i posmarować na palec grubo tą masą placek. Na stępnie posypać cukrem, postawić w cieple, a gdy podrośnie, wstawić na godzinę w piec.

Można też placek przekładać tą masą w ten sposób: na wysmarowaną masłem blachę nałożyć warstwę ciasta, potem sera, znów ciasta, posmarować jajem, posypać krajanymi migdałami, a gdy wyrośnie, upiec w piecu.

Masę z sera można też przyrządzić w ten sposób: umieszać ser z dobrą kwaśną śmietaną, wlać kieliszek araku, łyżkę soku cytrynowego, trochę wanilii, cukru do smaku, wymieszać dobrze masę i nałożyć nią placek.

Narzeczona z automatu

W Nowym Jorku mechanizacja wtargnęła już nawet do dziedziny miłosnej, a raczej — ściśle mówiąc — matrymonialnej. Co prawda, pomysł nie jest nowy, zrodził się w Japonii, ale w Ameryce znacznie go udoskonalono.

Na ulicach Nowego Jorku pewien sprytny przedsiębiorca ustawił automaty, które możnaby nazwać mechanicznymi swatami. Konstrukcja tych automatów jest zasadniczo taka sama jak znanych wszystkim aparatów sprzedających czekoladę, cukierki, papierosy itp. W szczegółach przecież są różnice.

W przedniej części takiej automatycznej agencji matrymonialnej znajduje się szklany ekran, który stanowi wynalazek amerykański i sprawia, że amerykańskie automaty małżeńskie górują niezaprzeczalnie nad japońskimi.

W Japonii automat wyrzuca tylko listę kandydatek do małżeństwa, w Nowym Jorku nie kupuje się kota w worku...

Ów ekran pozwala dokładnie obejrzeć „towar" przed wyłożeniem pieniędzy, przy czym — szczegół bardzo ważny — „obejrzenie nie obowiązuje do kupna".

Aparat jest zaopatrzony w korbę. Kiedy się ją wprawia w ruch (nic jeszcze nie wrzuciwszy do automatu), na ekranie przesuwają się podobizny kobiet czekających na amatora. Wybór jest obfity: blondynki, brunetki, szatynki, rude, pulchne i wiotkie: młode i w wieku balzakowskim.

Wystarczy nacisnąć guzik znajdujący się pod korbą i wrzucić monetę jednodolarową, aby wypadła fotografia kobiety, której podobizna właśnie zatrzymała się na ekranie. Na fotografii podane są: nazwisko, adres, wiek i... wysokość posagu.

Klienci widzą, co biorą, i to im musi wystarczyć; o żadnej gwarancji nie ma mowy. Ale czy żeniąc się w inny sposób nie ryzykuje się zupełnie tak samo? A tu przynajmniej procedura konkurów jest uproszczona i skrócona, co ma ogromne znaczenie w kraju, gdzie czas to naprawdę pieniądz. Czegóż zresztą można żądać za jednego dolara?

Kobiety płacą wprawdzie więcej, ale również nie mogą się skarżyć na wyzysk: za „jedne 5 dolarów" przedsiębiorca umieszcza podobiznę kandydatki do stanu małżeńskiego we wszystkich automatach ustawionych w Nowym Jorku i trzyma ją tam... aż do skutku.

Ponieważ jednak automaty te cieszą się olbrzymim powodzeniem, więc ich właściciel zagarnia pokaźne sumy. Zasada „mały zysk, duży obrót" jeszcze raz okazała się słuszną.

Ze świata

Nie tylko suknia zdobi kobietę...

Do jednego z sądów paryskich wpłynęła niedawno oryginalna i niecodzienna sprawa. Młoda, ładna paryżanka, córka średnio-zamożnego kupca, zapałała gorącą miłością do przystojnego młodzieńca i zapragnęła go poślubić. Właściciel niebieskiej limuzyny i szkockiego terriera odpowiedział uczuciem za uczucie... ale do małżeństwa nie było mu spieszno. Piękna Jeanetta, chcąc olśnić wybranego potęgą i czarem swej urody obstalowała w najdroższym magazynie wspaniałą wieczorową toaletę... a należną sumę obiecała nadesłać nazajutrz. Krawiec stworzył dla Jeanette za słone pieniądze prawdziwą kreację, i zapewnił, że nie znajdzie się mężczyzna, który ujrzawszy ją w tym stroju, podkreślającej jej wiotkie kształty i subtelną urodę, zawahałby się choć chwilę przed złożeniem jej małżeńskiej oferty. Na proszonym obiedzie u wspólnych znajomych zadebiutowała Jeannette w swej nowej toalecie. Ukochany szeptał jej czułe słowa, mówił dużo o miłości, szczęściu... ale nie wypowiedział słów tak gorąco przez nią oczekiwanych — nie oświadczył się o jej rękę. Tymczasem właściciel wspaniałego magazynu zasypywał ojca Jeanetty listami i żądał zapłaty za suknię. Kupiec zwlekał z uregulowaniem rachunku

motywując odmowę tym, iż suknia nie spełniła roli, do jakiej została przeznaczona, gdyż mimo solennych obietnic mistrza mody objekt zainteresowań młodej panny nie zaproponował jej małżeństwa. Strony nie mogły dojść do porozumienia i rozstrzygnięcie sporu powierzono sędziemu. Przed paroma dniami, jak donosi prasa francuska, zapadł wyrok głoszący, iż „młoda kobieta nie może oferty małżeńskiej uzależniać od talentów krawca, ale winna walczyć i zdobywać mężczyznę swemi osobistemi walorami". Kupiec zapłacił i za suknię i za przegraną sprawę.

Cenne wykopaliska na Węgrzech

Podczas prac wykopaliskowych w prastarej twierdzy węgierskiej Esztergomie, dawnem Strigonium (niem. Gran) dokonano ciekawego odkrycia.

Odkopano, mianowicie, rozległy bastion z czasów, gdy Esztergom był jeszcze twierdzą turecką, oraz szczególnie ważne pod względem historycznym wrota, przez które król Jan Sobieski wkroczył po zdobyciu tej twierdzy do niej i przyjął hołd od pozostałych jeszcze w twierdzy Turków.

Podróż w nieznane do Żnina

Refleksje autora, jadącego po honorarium

Fordon leży niedaleko od Żnina, ale odbycie podróży na tej tak niewielkiej przestrzeni zaliczyć można do prawdziwych, a tak ostatnio modnych podróży w nieznane. I nie jest to bynajmniej ani przesadą, ani przenośnią poetycką, ale najrzetelniejszą pod słońcem prawdą, o czem w dalszym ciągu Czytelnik się przekona.

Jak przyszło do tej mojej podróży? To naprawdę cała epopeja projektów, narad, kombinacyj, pomysłów mniej lub więcej dowcipnych, z których każdy zmierzał do wybrania najlepszego środka lokomocji. Jedni radzili pociąg, drudzy autobus, a jak w każdej dziedzinie, tak i w tej zdania ścierały się w formie ostrej i niedopuszczającej negacji czy choćby tylko dyskusji.

W końcu dałem się przekonać do pociągu, który jakoby miał prędzej mnie dowieść do owej Mekki, zwanej powszechnie Żninem, znanym i popularnym: po pierwsze dla swoich wspaniałych jezior, po wtóre — dla sąsiedztwa swego z Biskupinem, a po trzecie i najważniejsze dla istnienia w tym grodzie starym „fabryki wydawnictw" p. Alfreda Ksyckiego.

Tedy jadę. Fordon - Bydgoszcz. Nic ciekawego. Kwadrans czasu i jestem w Bydgoszczy. Pytam o pociąg do Żnina. A jakże, jest 10,40.

— W Szubinie ma pan zaraz pociąg do Żnina — informuje mnie starszy kolejarz. — Pięć minut czekania i pojedzie pan dalej.

Świetnie. Czekam w Bydgoszczy 40 minut, wsiadam do pociągu i — niech się dzieje, co chce — jadę w nieznane ku niedalekiemu Żninowi. Około pół do dwunastej przybywamy do Szubina. Jedynym pasażerem, który tu wysiada jestem tylko ja. Poza tym — pustka. Opodal na rampie stoją wagony z węglem, który wydaje się bezrobotnym. Rozglądam się dalej — pustki. Pociąg, który mnie tutaj wyrzucił — odszedł. Odszedł również pociąg zdążający do Bydgoszczy. Ale obok na torze stoi lokomotywa z jednym wagonem, na którym widnieje tablica z napisem: „Z Szubina do Żnina".

— Aha więc to jest ów pociąg, który mnie powiezie do stolicy Pałuk — myślę, zdążając ku stojącemu opodal sympatycznemu kolejarzowi z dobrze utrzymaną brodą w klin, aby go zapytać o czas odejścia pociągu żnińskiego.

— Pociąg do Żnina? — powtarza za mną pytanie kolejarz. — Tak, to właśnie ten pociąg, ale odejdzie dopiero o godzinie 2,15, to jest za dwie godziny i 45 minut.

— Boże wielki! — wyrywa mi się westchnienie. — Panie, co ja tu będę robił na stacji tyle czasu?

— Musi pan poczekać — pada spokojna odpowiedź z ust kolejarza.

— Poczekać... — powtarzam zbolałym głosem — ha, cóż robić, czekajmy.

Idę do poczekalni.

Zaczynam chodzić tam i nazad. Sala poczekalni ma dziesięć i pół kroka wzdłuż, dziewięć kroków wszerz. Przemierzyłem ją co najmniej kilkadziesiąt razy. Zegar cyka jednostajnie i monotonnie, obojętny na mnie i mój gniew. On ma czas, on zawsze zresztą ma czas.

Z początku byłem wściekły na moich informatorów fordońskich, którzy wmówili we mnie podróż koleją, zamiast autobusem, ale później doszedłem do wniosku, że gniew mój nie ma sensu. Dlatego uspokoiłem się i zasunąwszy się w róg poczekalni, zacząłem czytać gazetę od deski do deski. Ale w poczekalni chłodnawo — mróz liże po nogach. Wchodzi jakiś kolejarz i proponuje mi wyniesienie się do wagonu żnińskiego.

— Wagon ogrzany, tam będzie panu wygodniej — informuje kolejarz.

Przyjmuję propozycję, a jednocześnie konstatuję na podstawie tego i innych wypadków z mojego pobytu w tych stronach, że kolejarze są tutaj bardzo grzeczni i uczynni. Nawet w małych rzeczach starają się przyjść z pomocą podróżnemu. Powiecie może, że robią to z nakazu? Nic podobnego! Przecież ten kolejarz mógłby nie zaproponować mi przejścia do ogrzanego wagonu, bo tego nikt odeń nie wymagał, a jednak zainteresował się moją niedolą pasażera czekającego. To był jego czysto osobisty odruch grzeczności.

Pakuję się do wagonu i paląc papierosa za papierosem — uzbrajam się w benedyktyńską cierpliwość. Mijają długie minuty, kwadranse, godziny... Godzina 2,05 przybywa pociąg z Bydgoszczy. Kilkunastu podróżnych przesiada się do mojego wagonu. Do przedziału zaś mojego wsiada starszy pan z hiszp. bródką i sumiastymi wąsami szronem przyprószonymi. Prawie natychmiast zawiązuje się rozmowa.

— Pan do Żnina? — pyta mnie.

— Tak, do Żnina.

W interesie? A do kogo?

Rzucam nazwę firmy.

— Ach, znam, znam doskonale — odpowiada na to mój przygodny współtowarzysz podróży i zaczyna cytować rozmaite dane z działalności Zakładów Wydawniczych p. Alfreda Ksyckiego.

Jest pełen uznania dla jego energii, pracowitości, rzutkości, a przytem — wie prawie wszystko: jak stoi przedsiębiorstwo, ile nakładu ma dziennik „I. K. P.", ile „Moja Przyjaciółka", a ile „Moje Powieści" — słowem, wydaje mi się on chodzącą encyklopedią wiadomości żnińskich, o czym jeszcze wspomnę.

A tymczasem ruszamy. Przejeżdżając obok rozmaitych wiosek po lewej i prawej stronie toru, jestem wyczerpująco informowany przez mojego „Orbisa" o miejscowościach mijanych, ich właścicielach, stanie gospodarstw właścicieli folwarków itd.

Aż nareszcie Wąsosz. I odrazu o pamięć uderza wspomnienie pacholika pana Stanisława Skrzetuskiego, imć Rzędziana, dzierżawcy z Wąsoszy, o którym tak wspaniale pisał Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem". Może to nie ta Wąsosz, może inna — nie wiem. Ale byłem przekonany, że tu musiał siedzieć pan Rzędzian, kłócąc się z sąsiadem, na pognębienie którego rabował wszelakie dobro wojenne, za co nieustannie strofował go pan Zagłoba, obiecując mu, że zajdzie wysoko, oby tylko... nie na szubienicę.

Ale nie Wąsosz uderzyła mnie jeszcze tak mocno, a — Sobiejuchy. Co za kapitalna nazwa. Sobiejuchy — Psiajuchy! Miał ktoś zdrowy dowcip, nazwawszy tę miejscowość w ten sposób. A musiało się to pewnie dziać za Jana Kazimierza, kiedy na Zamościu siedział pan Sobiepan Zamojski. Jakby dla kontrastu szlachetka z drugiego końca Polski, bo aż spod Żnina, nazwał swoją wioskę Sobiejuchy.

— Może być w Zamościu Sobiepan — musiał konkludować pan brat szlachcic — mogę ja na mojej wiosce być Sobiejuchą, mościdzieju Równym jemu wszak, mociumpanie, jako że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Dziś Sobiejuchy należą do Chłapowskich (wiem to od mojego „Orbisa"), majątek dobrze zagospodarowany. Z daleka widać pałac z widokiem na jezioro sobiejuskie, w tej chwili zamarzłe.

A zaledwie minęliśmy Sobiejuchy, rozbłyska przed nami w zachodzącym słońcu ogromne jezioro żnińskie (3000 mórg — informacja „Orbisa"). Jest także zamarzłe, szklące. Przed paru laty utopił się w nim chłop, wracający w nocy ze Żnina po lodzie do Sobiejuch — jak mi powiada mój towarzysz.

I w końcu... Żnin, cel mej podróży, Mekka, do której dążę od godziny 9-ej rano. Spoglądam na zegarek — za 20 minut trzecia. Wspaniała jazda! Sześć godzin blisko jadę 56 km.

Mój „Orbis" ofiarowuje się doprowadzić mnie do rynku żnińskiego. Idziemy, a po drodze objaśnia mnie: „Tu jest landrat dawny, dzisiejsze starostwo, ten kościół polski, a tamten niemiecki; tu jest zbankrutowany „Rolnik" a to jest dyrektor Kasy Komunalnej, to dawny dyrektor Kasy Chorych — moje uszanowanie panu..." Itd. itd.

Za mostem mój przewodnik pożegnał mnie, bo skręcał ku domowi, a ja poszedłem na Rynek. Na samym środku powitała mnie baszta. Pewnie stary zabytek — znać to po zmurszałości dolnego muru. Na tle pustego w tej chwili placu rynkowego ta baszta żnińska wygląda jak strażnik czuwający nad spokojem spokojnych zapewne mieszkańców małego m. I stoi tak pewnie od wielu — wielu lat, a zegar w jej czole wskazuje godziny tak samo, jak wskazywał dawniej.

Przystaję na chwilę i przyglądam się staruszce. Mam kult dla wszelkich pamiątek dawnych wieków. I kiedy je oglądam, przychodzą mi zawsze na pamięć ludzie, którzy tu niegdyś żyli i troskali się tak samo codziennymi kłopotami, jak my dzisiaj. Cóż znaczą dzisiaj ich kłopoty wobec choćby tej baszty! One przeminęły, a baszta trwa.

W roztargnieniu idę ku przeciwległemu wylotowi Rynku, zamiast skręcić z Rynku na prawo. Wkraczam w wylot ulicy i na lewo widzę zamarzłe jezioro tuż pod murami miasta. Chmara dzieciarni saneczkuje się tam i ugania na łyżwach. Chwilę przyglądam się temu, poczem zapytuję jakiegoś przechodnia o Zakłady Wydawnicze.

— Musi się pan wrócić — odpowiada zapytany i daje mi dokładne wskazówki.

Bez najmniejszych już przygód trafiam do gabinetu właściciela i dyrektora Zakładów. W pierwszej chwili jestem poprostu zachwycony: prostota nowoczesnego urządzenia zakładów uderza zarówno praktycznością umeblowania, jak elegancją i wygodą. A więc jestem w sercu „fabryki wydawnictw". Rozglądam się ciekawie, zerkam tu i tam, obserwuję spod oka pana szefa, młodego, przemiłego blondyna, p. Alfreda Ksyckiego. Po chwili przychodzi p. Ksycka, szatynka pełna czaru o ładnych oczach. Zaczyna się pogawędka o wszystkim, przeplatana rozmową na temat „interesu" autora z wydawcą. Godziny biegną nam tak szybko!...

Dobijamy targu w „interesie", podpisuję jeden i drugi papierek, a potem... Może będę niedyskretnym — nie wiem, ale nie mogę oprzeć się pokusie zdradzenia najmilszej tajemnicy... Bar... Eh, nie, ten „Żupan" Kasprowicza był znakomity. Zresztą, nie powiem więcej. Idziemy oglądać „redakcję panów", potem „redakcję pań"... Zgadnijcie jak wygląda „Pani Zofia" z „Moich Powieści", która tak wielką cieszy się sympatią wśród wielkiej rzeszy Czytelników tego tygodnika? Ale nie, tego zdradzić nie mogę, albowiem p. redaktor Ksycki kazał mi zakląć się na ogień i wodę, i na brodę proroka Mahometa, że tajemnicy nie zdradzę nikomu, choćby mnie na męki brano. Trudno, nie mogę. Powiem tylko, że jest szatynką albo brunetką, no i — bardzo miła i — koniec.

Później oglądam drukarnię: maszyny, zecernię, administrację — wszystkie zakamarki. Jestem pełen podziwu dla energii, której wiele musiano włożyć tutaj, aby zakłady doprowadzić do tak pięknej formy, w jakiej oglądać je można dzisiaj.

W końcu wracamy znowu do gabinetu pana szefa, spędzamy na rozmówce jeszcze parę minut i wychodzimy do autobusu. Po drodze udaje nam się wypić połowę „pół czarnej" (na wypicie całej nie było czasu), p. redaktor Ksycki pakuje mnie do wehikułu — ostatni uścisk dłoni, ostatnie pożegnanie i ruszamy w drogę powrotną. A przejeżdżając przez miasto, myślę o tym, że Żnin leży w przepięknej poprostu okolicy nad dwoma jeziorami i dziwię się, że ludziska szukają pięknych okolic gdzieś po szerokim świecie, a nie widzą krasy polskiego krajobrazu pod nosem. Dlatego to, kiedy powrócę do domu na drugim prawie krańcu Polski, będę wciąż opowiadał ludziom o tym, aby ich zmusić do odwiedzenia Żnina.

Warto tu przyjechać zimą, a stokroć więcej jeszcze warto przyjechać latem, co sobie solennie obiecuję spełnić.

Adam Czekalski.

rącej czekolady. Ja wkrótce przyjdę po panienkę.

To rzekłszy, odszedł spokojnie.

Sylwia zaś poszła do cukierni Simona i czekała na niego cierpliwie.

Dopiero po upływie trzech godzin powrócił Moszko bardzo zgrzany i ochrypły i wręczył Sylwii triumfująco ciężką torbę.

— Sprzedałem wszystko pojedyńczo — rzekł — i dostałem przeszło 900 guldenów.

Sylwia wzruszona podała mu rękę.

— Pani leśniczyna będzie na pewno niespokojna, że tak długo tu zostajemy — rzekł Moszko ochrypłym głosem — musimy więc zaraz jechać do domu.

Późnym wieczorem przybyli do leśniczówki. Państwo Herbertowie byli o nich zaniepokojeni, to też ucieszyli się ogromnie, gdy Sylwia świeża i zdrowa weszła do pokoju i opowiedziała, jaką bajeczną sumę Moszko osiągnął za klejnoty!

Pani Herbertowa przygotowała dla starego handlarza w jednym z pokoików czyste łóżko, bo nie chciała, aby o tak późnej porze wracał do wsi!

Stary żyd pomimo, że bardzo zmęczony, wybrał jeszcze dużo różnych próbek płótna ze szafy, aby je nazajutrz pokazać właścicielce tartaku. Zapakował je starannie, a potem dopiero udał się na spoczynek.

Nazajutrz zbudził się wczesnym rankiem, a w kwadrans później był już w drodze do tartaku, oddalonego o 3 mile od leśniczówki.

Przybył tam o 9-tej rano i zastał panią domu wraz z córką przy śniadaniu.

Lud nazywał panienkę tę „brzydką" i rzeczywiście powierzchowność jej usprawiedliwiała zupełnie to określenie. Gdy zobaczyła Moszka krzyknęła głośno:

— Już znów jest ten stary żyd! Wynoście się czym prędzej, my nic nie kupimy!

— Nie mam też nic do sprzedania, wielmożna panienko! — uspokoił ją Moszko. — Ale, ponieważ właśnie tędy przechodzę, wstąpiłem, aby mamie pani zrobić przyjemność i pokazać jej coś ładnego.

To mówiąc, złożył swój pakunek i pokazał zdumionym niewiastom co przyniósł.

— Czy to nie przyjemność popatrzeć na to wszystko? — zapytał. — Płótno to było przeznaczone na wyprawę dla hrabianki, bo byłoby za ładne i za delikatne dla zwykłych ludzi.

— O, zwykli ludzie mają często dużo pieniędzy! — rzekła Rozalia obrażona — ja mogę sobie również podobne rzeczy kupić, jeżeli będę chciała.

— Ale mama wielmożnej panienki na pewno nie zgodzi się, bo jest oszczędna — rzekł Moszko dobrotliwie — nie; ja pójdę z tymi rzeczami do młyna Rotherów. Panna Greta jest prawie zaręczoną.

— Co ten głupi żyd myśli, że Greta Rother jest czymś lepszym ode mnie? Dla niej, to te rzeczy nie są za piękne a dla mnie są! Pojadę do Wiednia i kupię sobie te same gatunki.

— Skąd macie ten towar? — spytała pani domu ciekawie.

— Ja wielmożnej pani nie mogę tego powiedzieć — rzekł Moszko. — To jest wielka tajemnica. Przysięgałem pani hrabinie, że nikomu nie zdradzę! Ten towar taki tani, że aż mnie serce boli, sprzedawać to płótno za taki lichy pieniądz. Sprzedaję go za pół darmo!

Teraz odezwała się chciwość w obu kobietach. Porozumiały się spojrzeniami, a matka zapytała:

— Ile kosztuje to nakrycie z dwunastoma serwetkami?

Moszko wymienił dość wysoką cenę.

— To on nazywa tanio? — krzyknęła gruba jejmość, klaskając w ręce.

— To jest jak znalezione! — zapewniał Moszko. — Wielmożna pani przecież zna się na tym. Proszę tylko dobrze zobaczyć, to jest holenderskie płótno, tego tutaj nawet dostać nie można. Proszę tylko pomacać, jakie cienkie i gładkie. Nie każdy może kupić dla swej córki wyprawę, która była przeznaczona dla hrabianki. Rotherowie to będą mogli.

— My także możemy kupić — złościła się Rozalia.

Moszko zrobił niedowierzającą minę i zaczął pakować porozkładane rzeczy.

— Zatrzymaj się! — zawołała jejmość i położyła ciężką rękę na plecach żyda — namyślimy się jeszcze. Czy nie moglibyście mi zostawić tego towaru, a resztę przynieść? Mogłabym te rzeczy wtedy kupić, gdybym je wszystkie przejrzała.

— O, tego towaru jest za przeszło 1000 guldenów — rzekł handlarz z poważną miną.

— Może myślicie, że nas nie stać na to? — oburzała się Rozalia.

— Niech Bóg broni i zachowa! — bronił się handlarz.

— Więc czego się obawiacie? — ofuknęła go.

— Jeżeli wielmożne panie rozkażą, to pojadę i przywiozę towar — zapewniał handlarz.

— Tak jest, przywieźcie wszystko! — mówiła jejmość.

— Chcę wszystko mieć! — krzyczała Rozalia.

— Jak wielmożne panie każą — odpowiedział stary Moszko — za kilka dni będę tu znowu. Całuję rączki!

Chciał wziąć tobołek na plecy, ale jejmość krzyknęła rozkazująco:

— To tu zostanie! Schowam go jako fant, że przyjdziecie i resztę mi przyniesiecie.

Gdy żyd wyszedł, rzekła córeczka:

— Tego by tylko brakowało, aby nam Rotherowie sprzątnęli to cudne płótno!

— Ten żyd nawet nie chciał z nami gadać — irytowała się matka — jakbyśmy go gwałtem nie zatrzymały, to byłby pewno nie wrócił.

Moszko zaś zacierał ręce z radości.

— Gdybym te głupie kobiety zaczął zachęcać do kupna, byłyby pewno nic nie kupiły — mruknął. — Będę teraz musiał to wszystko wywieźć potajemnie z leśniczówki do jakiegoś większego miasteczka, a stamtąd dopiero przywieźć cały zapas do tartaku, bo inaczej one domyślą się prawdy i cały interes na nic.

Pani Herbert zaś, będę musiał powiedzieć, że sprzedaję te płótna jednemu znajomemu w miasteczku, bo ona nie pochwaliłaby mojej chytrości.

Wielkimi krokami zbliżał się do leśniczówki, aby donieść jej mieszkańcom o wesołej nowinie.

Opowiedział małą, zręcznie zmyśloną historię tak płynnie, że Herbertowie ani na chwilę nie wątpili o prawdzie jego słów.

Wytłumaczył im też sprytnie, dlaczego nalega na to, aby te rzeczy nocą do stacji kolejowej przetransportować i wziął od nich przyrzeczenie, że z nikim o tej sprzedaży mówić nie będą.

ROZDZIAŁ XC.

Był mroźny poranek. Ulice miasta były jeszcze puste, tylko kilku panów wracało z nocnej birbantki do domu i przemykały się dziewczęta podejrzanej konduity.

Z pośród wszystkich postaci ożywiających ulice Wiednia i przedmieści, a szczególnie z kobiet błąkających się podejrzanie, wyróżniała się jedna młoda, samotna osóbka.

Mimo, że ubranie jej było w nieporządku, buciki obłocone, a jasne jej włosy rozwiane, mimo całej zniszczonej toalety poznać było po jej niewinnym wyrazie twarzy i po zatrwożonym spojrzeniu, że nie miała ona nic wspólnego z tymi, upadłymi kobietami, które zaczepiały przechodniów.

Znużonym krokiem, trzęsąc się od zimna, doszła ona do następnego rogu ulicy i odczytała z trudnością jej nazwę.

— O, Boże — mruknęła zrozpaczona — jeszcze nie doszłam do kresu mej podróży. Nie umiem się jakoś zorientować, a nogi ledwie mnie już niosą. Spróbuję jeszcze raz z dorożką.

Przystąpiła do najbliższej dorożki stojącej samotnie i rzekła nieśmiało do woźnicy:

— Czy nie zawieźlibyście mnie na ulicę Franciszkańską?

— A czy pani ma pieniądze? — zapytał dorożkarz, mierząc ją od stóp do głowy nieufnym wzrokiem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Zadanie matematyczne

pod. L. K. Bydgoszcz.

Pewien chłopiec miał kupić zeszyty dla całej klasy. W składzie okazało się, że gdyby kupił zeszyty po 30 groszy zabrakłoby mu 75 groszy, a znowu gdyby nabył po 25 groszy szt. zaoszczędziłby 60 gr. Ile chłopiec miał pieniędzy i ile kupił zeszytów?

Rebusiki

uł. „Eros".

lo / ty   ty / mio   wa / da

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku br.

Trafne rozwiązanie zadań z nr. 10 „Moich Powieści" nadesłali pp.: Aniela Szewczykówna — Kamieniec Litewski, Ola Zatorska — Poznań, Marian Jaskółka — Wąbrzeźno, Kazimiera Lewandowska — Sambor, Witold Nowak — Warszawa, K. Piaskowska — Rokietnica, Julian Karwowski — Wieliczka, „Pe - em".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Oli Zatorskiej z Poznania i Julianowi Karwowskiemu z Wieliczki.

ADAM CZEKALSKI

Sen o zemście

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

I.

RWANIE KŁÓW

Jan Ciechanowiecki, starosta opeski i pułkownik huzarski, mimo młodego wieku, bo ledwie 28 lat sobie liczył, był już mężem wybitnym, odgrywającym dużą rolę na sejmikach, a jako jeden z przywódców frakcji księcia Karola Radziwiłła Panie Kochanku, wojującego z frakcją księcia kanclerza Michała Czartoryskiego — był groźnym przeciwnikiem i niejednemu przywódcy „Familii", nawet większemu od siebie, spędzał błogi sen z powiek.

Ród Ciechanowieckich na Litwie był jednym z możniejszych, dla kraju wielce zasłużony, a przez swoje koligacje z całą prawie Litwą i Koroną, zaliczał się w owym czasie, za ostatniego Sasa, do rodów potężnych, „panami białoruskimi" zwanym.

Było ich pięciu braci: wspomniany już Jan, starosta opeski, Stanisław, generał adiutant króla jegomości, Michał, starosta domaski i kawaler maltański, Ksawery, liczący sobie podówczas lat dopiero 17 i Józef lat 13.

Ciechanowieccy ci i ich rozliczni krewni byli nader ważnym atutem w rękach księcia Panie Kochanku, a że Radziwiłłowi służyli wiernie i oddani mu byli całą duszą i dla dobra frakcji ważyli się często na szalone przedsięwzięcia — w łonie obozu Familii dawały się słyszeć nieraz głosy doradczę, aby tak wybitnych ludzi przeciągnąć na swoją stronę. Szczególnie nastawał na to starosta szakinowski, graf Józef Berlicz Strutyński, stronnik i filar Familii, pan na Ucianach i przyległościach w Wiłkomierskim.

Graf Strutyński był to w młodości hulaka i zawalidroga, który Uciany swoje przegrał w karty i tonął w długach powyżej czubków włosów i dopiero dobry ożenek z panną łowczanką inflancką córką Fabiana Plater Zyberka, pozwolił mu na odkupienie Ucian, a uchwycenie się za poły Familii, pozwoliło mu na dobre wypłynąć na powierzchnię. Miała Familia u siebie plenipotentów dzielnych i odważnych, ale i frakcji radziwiłłowskiej na ludziach mężnych nie zbrakło, bo sam już choćby Wawrzecki, srodze Familii dopiekający wespół z Ciechanowieckimi, starczył za wielu stronników przeciwnej partii, a że również i srodze ów Wawrzecki emablował damy w ich alkowach i... sztambuchach, wywoływał gorycz w wielu namiętnych gardłaczach Familii. Ozdobą obozu księcia Panie Kochanku był stary kasztelan brzeski, Andrzej Abramowicz, a najsolidniejszymi filarami byli oczywiście Ciechanowieccy.

Tam, gdzie zjawiał się pan Jan Ciechanowiecki, starosta opeski, gdzie on publicznie wystąpił, stronnicy Familii nie mieli nic do gadania. Dzielnego charakteru, prawości nadzwyczajnej i



Atrakcją pewnej charytatywnej kwesty ulicznej w Berlinie był duży balon, który wystartował z ulicy wypełnionej po brzegi widzami. Na zdjęciu, na pierwszym planie widzimy pomnik Fryderyka I.

bystrego umysłu — pan starosta górował znacznie zarówno nad resztą swych braci, jak i nad bracią szlachtą z różnych zaścianków i dworków winem obrosłych.

Przez swoją wybitność i energię w zwalczaniu przeciwników, był pan Jan bolesnym cierniem w pięcie obozu Familii, cierniem tym przykrzejszym, iż nie było sposobu usunąć go z owej pięty.

Żadna agitacja, żadne zgromadzenie lub sejmik nie mogły nigdy przynieść owoców Familii, jeśli zjawił się tam starosta opeski ze swoją kompanią i dorwawszy się do głosu, poczynał mówić. Najzawziętsi wrogowie partii księcia Panie Kochanku nie mogli oprzeć się chęci wysłuchania jego mowy, która zazwyczaj perliła się zwrotami krasomówczyni, raz dramatycznymi, raz pobudzającymi wszystkich do ogromnego śmiechu. I biada śmiałkowi, który dostał się na ostrze satyry Ciechanowieckiego. Już on nie prędko mógł się pokazać ludziom na oczy, jeśli nie chciał narazić się na drwiny, które raniły daleko boleśniej od ostrza szabli. To też po każdej prawie mowie pana starosty opeskiego, mnożyły się pojedynki wśród samych zwolenników Familii, a przywódcy tej frakcji darli resztki włosów na podgolonych łbach, nie znajdując rady na tego wilka, który taki ferment wywoływał w familijnej owczarni i coraz to porywał parę sztuk baranów szlacheckich, powiększając nimi owczarnię księcia Panie Kochanku.

Po sejmiku w Wiłkomierzu, na który przybył sam książę Panie Kochanku, przywożąc z sobą najpierwszych swoich gardłaczy, z Janem Ciechanowieckim i Wawrzeckim na czele, a na którym Familia na głowę prawie pobita została, wodzowie frakcji księcia kanclerza Czartoryskiego zwołali generalną naradę nad sposobami ratunku. Zwołano ją do Borysławia do domu grafa Strutyńskiego. Przybyli co najpierwsi zaufani głowacze frakcyjni, a graf osobiście przyjmował każdego, wielkim kadząc dusery i głaszcząc ich dumę niby charcie szczenię po grzbiecie — pochlebstwami, mniejszych klepiąc po łopatkach i mówiąc im „panie bracie", „z sercam rad", wypytując o zdrowie pani małżonki, o gospodarstwo, urodzaje, a wszystkich goszcząc miodami przednimi i winami z piwnic księcia kanclerza. Jawnie nie nazywała się to narada, tylko zwyczajna gościnność szlachecka, na której pito na umór, gwarzono i weselono się, jak gdyby Familia nie klęskę, ale zwycięstwo w Wiłkomierzu odniosła.

Dopiero późno w noc, gdy większość posesjonatów i braci szlachty legła pod ławami i stołami bez duszy, a służba grafa uprzątnęła ich do przeznaczonych im komnat, w ozdobnej izbie gospodarza zgromadziło się kilku wybranych: graf Strutyński, graf Ruszczewski, pan na Dolsku i przyległościach, Wołoszynowski, Borejko, dwóch Plater Zyberków i inni. A wszyscy mieli twarze zasępione, ponure, bo ich ta klęska wiłkomirska piekła wciąż jak rozżarzone żelazo.

Graf Strutyński pierwszy zagaił to ogólne zgromadzenie, wyrażając żal z powodu ostatniej porażki, którą frakcja familijna przypisać może jedynie Janowi Ciechanowieckiemu, a następnie wyraził taką myśl:

— Gdybyśmy mogli znaleźć sposób na przeciągnięcie starosty opeskiego na naszą stronę, wyrwalibyśmy frakcji księcia Panie Kochanku najgroźniejsze kły.

— Ba! — bąknął Borejko. — To jest nieprawdopodobieństwem...

— Ciechanowiecki nie zgodzi się na owo przyjście za żadną cenę — dodał Ruszczewski.

— A jednak musicie ichmościowie wynaleźć jaki bądź sposób na wyrwanie kłów partii przeciwnej. To jest conditio sine qua non ultra księcia kanclerza.

Szlachta pospuszczała posępnie głowy na piersi, milcząc. Skaptowanie Ciechanowieckiego do Familii wydało im się tak samo nieosiągalnym, jak podróż na księżyc.

— Rozumiem ja, proszę ichmościów — odezwał się jeden z Plater Zyberków — wartość takiego sojusznika jak Ciechanowski, ale jeśli dobrze go znam, nie masz takiej ceny, która zdolna byłaby go skusić.

Sam graf Strutyński pojmował to wszystko tak samo dobrze, jak inni jego socjusze, albowiem znał pana Jana może lepiej jeszcze od nich i wiedział, że pieniądze, majętności i stanowiska, choćby najlukratywniejsze, nic dla niego nie znaczą. Te godności, które posiadał, zdawały się kontentować go w ostatecznej mierze, a jeśli o majętności chodziło, to były one jednymi z największych i jeśli starosta pragnął ich powiększenia, a któż tego nie pragnie — to bynajmniej nie takimi środkami o jakich myśleli familianci. Gdyby mu to ktokolwiek zapro-



W szkole małej nauczycielki...

ponował, pewnie nie odszedłby odeń żywym.

O tym wszystkim wiedział dobrze i graf Strutyński i wszyscy zebrani tu familianci. To też, chociaż boleli nad klęską własnej frakcji i nad wszystkimi ciosami, jakie spadały na nią ze strony frakcji radziwiłłowskiej — nie mogli znaleźć żadnego lekarstwa.

Był jeden sposób, dość często praktykowany w owym czasie, a nazywał się on „tajemniczem zniknięciem", albo „nieszczęśliwym wypadkiem", ale Strutyński bał się trochę zastosować go w tym wypadku. Mogłoby to bowiem narobić ogromnej wrzawy na całą Litwę i Koronę i wszystko to łacno mogłoby się skrupić na nim samym.

— Według mojego mniemania — rzekł Wołoszynowski, pan na drewnianym zameczku, główny rębajło Familii — jedno nam tylko zostaje...

Wszystkie głowy podniosły się naraz i kilka par oczu utkwiło w twarzy głośne hałaburdy. Wołoszynowski zawiesił umyślnie głos, chcąc zrobić należyte wrażenie, po czym dopiero dokończył:

— Ożenić pana pułkownika huzarów.

Twarz Strutyńskiego rozjaśniła się nagle, jakby wszystkie promienie słońca na nią padły.

— Szczęśliwa myśl! — zawołano.

— Uważcie waćpanowie — ciągnął dalej Wołoszynowski — iż największe szkopuły od najdawniejszych czasów rozwiązano przy pomocy niewiast, czego przykładem nawet biblijnym jest choćby owa Judyt judajska, która odcięła głowę Holofernesowi.

— A Dalila, czyż nie ujarzmiła Samsona?

— Przednia myśl — zgodził się Strutyński. — Chociaż tam przysłowie powiadą, iż gdzie czart nie może, babę pośle, przecież i nam nic innego nie wypada teraz zrobić, jak tylko ożenić pana starostę opeskiego.

— I jam na to zgodny — wtrącił Borejko. — Jeno tak go ożenić trzeba, aby miła małżonka usidliła bujnego sokoła, a nam wetknęła końce arkanu w ręce, byśmy nim kierować mogli.

Graf uśmiechnął się tajemniczo do swoich myśli, po czym rzekł cicho:

— Już to ichmościowie mnie raczcie ostawić tę sprawę.

— Bierz ją, wasza miłość — zawołano zgodnie — i niechaj szczęście ci służy ku własnemu i frakcji pożytkowi.

Wszyscy zrozumieli myśl grafa, aczkolwiek nie wypowiedział on jej głośno i nie zdradził się z zamiarami.

Pan starosta szakinowski uśmiechał się wciąż tajemniczo, kiwał potakująco głową i dziękował kompanii za zaufanie.

II.
POKAZ W BORYSŁAWIU

Radę hałaburdy Wołoszynowskiego pochwycił natychmiast graf Strutyński i sobie ją zostawił do wykonania, bo w lot pojął, że wykonanie jej przyniesie nie tylko pożytek Familii, której był duszą i sercem oddany, ale, jeśli się uda, przede wszystkim jemu samemu. Familii życzył graf dobrze, ale sobie jeszcze lepiej. Rozumiał on też, iż złapanie w sieci małżeńskie Ciechanowieckiego, to wielka wygrana. Wszakże był to pan możny, mąż na kraj cały prawie głośny, prawością i charakterem górujący nad innymi, to też pozyskanie takiego tuza było gratką niełada.

Uczepił się też owej myśli Wołoszynowskiego tym bardziej, bo miał córkę jedynaczkę Jadwigę, z francuska „douce Hedvige" zwaną, urodzoną z łowczanki inflanckiej, dla której, zdaniem obojga rodziców, nie było dotąd stosownej partii, gdyż o Ciechanowieckim, jako o przyszłym swoim zięciu, pan Józef nigdy dotąd nawet nie marzył. Ale teraz, gdy projekt ożenienia pana pułkownika padł wypowiedziany głośno i publicznie, pan starosta szakinowski powziął mocne postanowienie zrealizowania go z największą korzyścią dla siebie.

Z obcych nikt dotąd panny Jadwigi nie widział. Chodziły tylko gadki o niezwykłej urodzie panny starościanki, o jej bardzo misternym ułożeniu towarzyskim, wysokim wykształceniu, znajomości języka francuskiego, którym lepiej włada niż językiem ojczystym, a już o jej muzykalności prze- noszono się w najwyższych superlatywach. Słowem, miała to być osobą ze wszechmiar godna stawać w rzędzie bogiń i byli nawet tacy, którzy dawali się słyszeć z głośnymi opiniami, iż nawet boginie starożytne nie byłyby godne sprzączki u trzewika jej zapiąć.

Dotąd jednak prawie nikt z obcych nie widział tej litewskiej Diany, której rodzice w ogóle w „świat" nie wprowadzali, a im zaś kto mniej wiedział, tym więcej opowiadał, budząc ogólne zaciekawienie.

Pan starosta szakinowski długo zastanawiał się nad sposobem podejścia do tej sprawy, rozważając wszelkie za i przeciw, w końcu postanowił pogadać na ten temat z panią małżonką, słusznie rozumując, że w podobnych sprawach niewiasty zazwyczaj jaśniej rzeczy widzą i umiejętniej do sprawy podejść potrafią.

Kazawszy się lokajowi oznajmić u pani, poszedł pan Józef na pokoje niewieście, a powitawszy małżonkę pytaniem o zdrowie, zagaił:

— Czy nie uważasz jejmość, iż czas już wprowadzić naszą Hedwige w świat? Dziewczyna już dorosła i czas by ją pokazać ludziom, o mężu pomyśleć. Jeśli bowiem nadal tak pod korcem będziemy ją trzymać, łacno na koszu osiędzie i rutkę siać będzie.

Starościna podniosła zdumione czarne łuki brwi i chwilę wpatrywała się w męża w milczeniu. Była to wspaniała niewiasta. Chociaż czas zostawił już na niej swe piętno, lecz ślady niezwykle bujnej, raczej wschodniej urody, nawet jeszcze teraz rzucały się w oczy. Duże wypukłe czarne oczy błyszczały jeszcze teraz ogniem i blaskiem, usta miały w sobie czerwień żywej krwi, owal twarzy bez zmarszczek i wklęśnięć, ramiona w pełnej formie i okrągłości, pierś jędrna, płeć jeszcze biała, skóra gładka. Cała postać robiła wrażenie kobiety młodej i pełnej sił życiowych. Czarne, niby skrzydła krucze, bez jednej srebrnej nitki, bujne włosy spadały w lokach na szeroko osłoniętą pierś po obu stronach twarzy.

— Komuż tu pokazywać naszą Hedwigę? — odrzekła jejmość, wydymając wzgardliwe usta. — Czy tej szlachcie wiecznie sejmikującej, gardłującej i pijanej? Wszakże ja tu dokoła nie widzę godnego kawalera dla naszej Hedwige.

— No, tak źle jeszcze nie jest — rzekł wolno pan starosta. — Mamy synów godnych, starych rodów, że wspomnę choćby Rudominów, Ciechanowieckich, Ruszczyńskich...

— Rudominowie, to prawie chudopachołki, Ruszczyński trochę niedołęga, a Ciechanowiecki... ten duszą i ciałem oddany przeciwnej frakcji.

— Frakcja frakcją, a serce sercem... zważ jeno jegomość, że Ciechanowiecki Jan, to posesjonat. A przy tym — starosta, pułkownik pułku huzarów króla Imci, człek znaczny i zacny. Zaledwie z młodzieńczego wieku wyrósł, a już starosta i pułkownik. Przy pomocy przyjaciół i możnych protektorów, a tych mu nie brak — może zajść wysoko.

— Starosta, starosta... — powtórzyła pani Strutyńska. — Dla piękności naszej Hedwige i kasztelana niezbyt wysoki próg... No, ale jeśli jesteś zdania, monsieur, że czas myśleć o mężu dla naszej jedynaczki, powiedzże mi co zamierzasz?

Pan starosta, który przyszedł do żony z gotowym już planem, zaczął rozwijać go z wolna.

— Damy bal, na który sprosimy najznamienniejsze rody — mówił — więc starego kasztelana Abramowicza, któremu Ciechanowiecki jest siostrzeńcem, Ciechanowieckich trzech — Jana, starostę opeskiego, Stanisława, generał adiutanta króla Imci, Michała, starostę domaskiego, Wawrzeckiego, Ruszczyńskich obu — ojca i syna... Słowem — najznamienitszych... Zresztą — spis zaproszonych przedstawię ci, a ty, moja jejmość dodasz od siebie te nazwiska, kogo zechciałabyś widzieć u nas.

— Niechże tak będzie, jak to sobie uplanowałeś. Ale na kiedy proponujesz, monsieur, ów bal?

— Jak można najprędzej.

— Zatem za dwa tygodnie.

— Zgoda, madame.

Tak zatem — padło postanowienie, że panna starościanka, obracająca się dotąd wśród preceptorów, metrów muzyki i tańca, rozmaitych Angielczyków i Francuzów i szczupłego grona kobiet i służby domowej — ma być wprowadzona „w świat". A tym światem w ówczesnym pojęciu ludzi rozwiązłej i hulaszczej epoki saskiej — miały być nieustanne konwentykle, bale, rauty, zabawy i flirt, królujący na owych licznych zgromadzeniach ludzi na ogół próżnych i poziomych, żyjących dyskontem wielkiej przeszłości historycznej Rzeczypospolitej i rozpasaną chwilą obecną. Życie publiczne ówczesne rozpoczynało się i kończyło na walce frakcji Familii z frakcją księcia Panie Kochanku, na popieraniu tej lub tamtej kategorii, ubieganiu się kuchennymi drzwiami o godności i zaszczyty u króla Imci dla siebie lub swych protegowanych, i na nieustannym balowaniu, piciu, tańczeniu i flirtach.

W ładnie położonym i bogato wyposażonym pałacyku pana starosty-grafa Strutyńskiego w Brasławiu, już nazajutrz po zapadnięciu postanowienia wydania balu, wszczął się bardzo żywy i energiczny ruch. Ściągano majstrów i robotników, którzy zajęli się odnawianiem obić i odświeżaniem sal, sprowadzono kwiaty i meble, zaopatrywano piwnice w miody i wina, umawiano kapelę i rozsyłano zaproszenia na wszystkie strony okolicy.

W komnatach panny starościanki radził osobny sztab krawcowych, które pod wodzą samej pani starościny szyły suknie dla niej i dla douce Hedwige.

Starosta graf Strutyński osobiście czuwał nad wszystkim, wyjąwszy oczywiście sprawy czysto kobiece, albowiem pragnął, aby ten dziewiczy bal jedynaczki olśnił wszystkich, zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Z natury, w miarę starzenia się — dusigrosz wielki, w proporcji do tego, jak w młodości był wielkim utracjuszem, tym razem nie skąpił wydatków. Stawiał wielką stawkę i spodziewał się, że stawkę tę powinien wygrać. O jedno tylko troskał się bardzo, a mianowicie: czy przeciwnicy spod znaku księcia Panie Kochanku przyjmą zaproszenie i nie zrobią afrontu. Liczył jednak bardzo na starego kasztelana Abramowicza, z którym żył w zażyłej przyjaźni, mimo przeciwieństw frakcyjnych. Zacnego tego starca pan starosta osobiście był prosić i kasztelan, pomimo podagry, obiecał się na balu w domu grafa. Był i w Wołczynie u księcia kanclerza, lecz tu spotkał go zawód, gdyż książę Michał odmówił. Owszem przyjął swego plenipotenta bardzo uprzejmie, długo z nim konferując i radząc, godził się całkowicie na jego plan uwikłania groźnego starosty opeskiego w sidła słodkiego hymenu, obiecał nawet wioskę w dożywocie w zamian za przysługę, ale od bytności w Brasławiu wymówił się koniecznościami publicznymi, które powołują go do stolicy. Na odjezdnem obdarował starostę jedną i drugą beczułką wina i miodu, które pociągnęły za grafem na specjalnym furgonie kanclerskim.



Tak żyje i pracuje żona nowego prezydenta Finlandii — państwa, nazywanego krajem tysiąca jezior.

Nadszedł termin balu. Przed dom grafa zaczęły zajeżdżać czwórki, szóstki, a nawet ósemki, ciągnąć wspaniałe pojazdy, uherbowane i lśniące od srebra a nawet złota, błyszczące czernią lakieru, barwiące się liberiami służby.

Graf witał znamienitszych gości na progu komnat, wyrażając radość, prawiąc komplimenty, rzucając uprzejme pytania, po czym sadzał na miejsca, według wieku, urodzenia i godności, bacząc, by czymkolwiek, broń Boże, nie urazić sąsiadów, posesjonatów i braci szlachty.

Wszyscy na ogół wiedzieli, że ów dzisiejszy bal dawany jest dla hrabianki Hedwige, to też z ciekawością wyglądali chwili, w której danem im będzie zobaczyć owo nieziemskie zjawisko, nadobną jedynaczkę grafa. Zgryźliwy Wawrzecki stał pod filarem z Janem Ciechanowieckim i oglądając tłumy ludzkie, mówił:

— Ten bal, to jakiś hak, na który JW graf próbuje kogoś złapać.

— Z czego to wnosisz? — spytał Jan.

— Czyż tu trzeba jakiejś nadzwyczajnej intuicji? Dość chyba, że ten dusigrosz, ta kutwa, gromadząca skarby w sposób, jaki mu się tylko pod rękę nawinie — rzuca, bądź co bądź, poważną sumę na próżno. I czy myślisz, że zrobiłby on to, gdyby nie miał nadziei odbicia tych wydatków? To się po nim nigdy nie pokaże.

— Zbyt ostro oceniasz grafa, mon cher ami.

— Zobaczysz, przekonasz się...

— A no, zobaczymy. Na razie jednak przestańmy podpierać te ściany, bo oto wchodzi wuj, pan kasztelan brzeski... Pójdźmy go powitać.

Obaj panowie oderwali się od filarów i poszli ku wejściu, gdzie pan kasztelan brzeski rozmawiał z grafem Strutyńskim.

Kapela, złożona z Cyganów, a częściowo dopełniona żydkami bracławskimi, uderzyła zgodnie w skoczną melodię, lecz nikt nie kwapił się do tańca, gdyż dotąd nie pokazała się jeszcze bogini, na którą wszyscy tu czekali.

Przyjąwszy u progu pana kasztelana brzeskiego, jako swego, nie tyle może najznamienitszego, ile najważniejszego gościa, starosta szakinowski zaprowadził go na honorowe miejsce, gdzie obaj panowie pogrążyli się zaraz w dyspucie publicznej, a Wawrzecki z panem Janem Ciechanowieckim, po przywitaniu starego kasztelana, wmieszali się w tłum ludzki, nawiązując rozmowy z rusałkami, które kokietowały ich spojrzeniami, uśmiechami i gestami, a nie rzadko i aluzja wyraźna padła z pięknych usteczek pod adresem zwłaszcza urodziwego i pewną aureolą sławy już okrytego starosty opeskiego.

Ubrany po polsku, w piękny kontusz grodeturowy, kanarkowego koloru, w kwiaty misternie wyszywane, przepasany pasem słuckim ogromnej wartości, w hajdawerach atłasowych koloru „bordo", w jałowiczych, czerwonych butach palonych, wyglądał świetnie i bogato. A bezcenne guzy u kontusza, nieoszacowanej wartości agrafa pod szyją i starodawny sygnet z herbem Ciechanowieckich na palcu — mówiły o bogactwie starosty. Postacią rosł zgrabną, znamionującej siłę, twarz nadobną z pięknym wąsem — pociągał pan Jan oczy niejednej pasterki i niejednej rusałki.

Lecz strojów polskich na tej sali było bardzo niewiele, można je było prawie na palcach policzyć. Znakomita większość ubrana była po francusku: ciżmy z klamrami na stopach, obcisłe pludry, spięte klamrami lub wstążkami pod kolanami, białe pończochy, fraki różnych barw i kolorów, wysokie kołnierze lub żaboty — przeważały. Po polsku przyszli ubrani przeważnie plenipotenci radziwiłłowscy, po francusku socjusze Familii.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

10) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

Ewa płakała niepowstrzymanie, a łzy te przynosiły jej ulgę. Nie czuła się już tak strasznie samą i opuszczoną. Spłynęło na nią ciche ukojenie, że znowu może się odnosić do Wendenburga z dawną dziecięcą czcią i przywiązaniem. Nie przeczuwała, ile przezwyciężenia kosztował go ten spokojny ton, w jakim utrzymywany był jego list. Sądziła, że jego miłość była chwilowym porywem, zgoła się nie domyślając, jak głęboko tkwiła ona w duszy dojrzałego mężczyzny. Uszczęśliwiona, że chce być już tylko jej wujem i opiekunem, natychmiast zabrała się do odpisania mu na list.

„Najdroższy, ukochany wujaszku! Zdjąłeś mi z duszy wielki ciężar tym swoim dobrym, kochanym listem, i odrazu czuję się lepiej, wiedząc, że nie uważasz mnie za niewdzięczną. Gorąco Ci też dziękuję za każde słowo, dodające mi otuchy. Jaki Ty jesteś dobry, że w dalszym ciągu chcesz mi dopomagać. Z najgłębszą wdzięcznością przyjmuję ofiarowaną mi pomoc, bo już w ciągu tych pierwszych dni zmiarkowałam, jak ciężko stanąć o własnych siłach. Mimo to pragnę się usamodzielnić. Przede wszystkim chciałabym mieć dużo zajęcia, mnóstwo obowiązków, któreby mi wypełniały cały dzień. Nie mogę przecież strawić życia bezczynnie, byłoby mi zbyt ciężko pozostawać wciąż tylko z moimi myślami. Pozwól mi więc pracować, a za nim znajdę zajęcie z głęboką wdzięcznością przyjmować będę pomoc od Ciebie.

Bardzo chciałabym objąć gdzieś zarząd domu, najchętniej tam, gdzie są dzieci. Ponieważ nigdy nie wyjdę za mąż, może w ten sposób stworzyłabym sobie zakres działania, dający mi zadowolenie. Gdyby wuj mógł mi pomóc do zdobycia posady, proszę pamiętać, że pragnę mieć jak najwięcej pracy i obowiązków.

U matki nie chciałabym mieszkać długo. Zgoła się nie rozumiemy i mimo najlepszej woli nie mogę się zdobyć na żadne cieplejsze uczucie dla niej. Wiem, że to źle, ale nic na to poradzić nie mogę. To, że ona nie spełniła wobec mnie obowiązków matki, nie zwalnia mnie od powinności dziecka. Cóż, kiedy żadną miarą przywiązać się do niej nie mogę i co rychlej chciałabym się stąd wydostać.

Jeszcze raz najgorręcej dziękuję za wszystko. Gabi ściskam serdecznie i życzę jej, by była bardzo szczęśliwa.

Z czcią i wdzięcznością

Twoja Ewa"

* *
*

Szarlotta wyszła ze sypialni w nowej sukni, która leżała jak ulana na jej zgrabnej figurze. Ewa uważała, że jest nazbyt strojna, a w kżdym razie nieodpowiednia dla jej matki, lecz nie uczyniła żadnej uwagi. Delikatna gęsta woalka przesłaniała twarz Szarlotty, dzięki czemu szminka i puder występowały mniej wyraźnie.

— Jestem gotowa. A widzę, że ty także. Włóż szybko kapelusz i rękawiczki, przejedziemy się po Tiergartenie. Pokażę ci trochę Berlina, a potem zjemy obiad w Ogrodzie Zoologicznym. Na szczęście nie mamy potrzeby liczyć się teraz z każdym groszem.

Twarz Ewy przybrała wyraz niechęci.

— Czy nie lepiej zjeść obiad w domu?

— Nie, tym razem będę stanowcza — gniewnie rzekła Szarlotta. — Musisz mi towarzyszyć. Skoro wieczorami nie chcesz wychodzić, to ostatecznie nie będę nalegać, ale we dnie nie masz żadnej wymówki. Chyba, że się poprostu wstydzisz swojej matki. Umyślnie sprawiłam sobie nową suknię, by cię nie kompromitować, ale widzę, że i to się na nic nie zda. Ano trudno!

Ewa wstała z westchnieniem.

— Jadę z tobą — rzekła spokojnie. Zrozumiała, że nie uniknie pokazania się w towarzystwie matki.

Szybko się przebierała, a Szarlotta udobruchana pomagała jej nawet. Postawiła na swojem, więc od razu odzyskała dobry humor.

— Ewo, wyglądasz nazbyt blado. Proszę cię, uróżuj się troszeczkę. Dziewczyna cofnęła się oburzona, w tej chwili twarz jej stanowczo nie potrzebowała sztucznego rumieńca.

— Nie, tego nie zrobię absolutnie — oświadczyła stanowczo.

Szarlotta parsknęła śmiechem.

— Och, ty parafianeczko! Coś takiego uważasz za występek, prawda.

Ewa nie odpowiadając, szybko naciągała rękawiczki.

— Możemy wyjść — rzekła, skierowując się do przedpokoju.

Szarlata skinęła na doróżkarza i powiedziała dokąd ma jechać. Przybrała wdzięczną pozę, wsparta o poduszki powozu, obok niej Ewa wyprostowana, patrząc przed siebie.

„Pod Lipami" panował żywy ruch. Jak Szarlotta przewidywała, niejedno spojrzenie z podziwem spoczęło na twarzyczce Ewy. Niektórzy panowie przystawali i kłaniali się uprzejmie, a aktorka odwzajemniała pozdrowienie, z uczuciem dumy, ale także żalu. Owi znajomi oddawna już nie chcieli jej poznawać — ukłony odnosiły się więc wyłącznie do piękności Ewy.

W Tiergartenie zobaczyła podjeżdżającego ku nim konno młodego człowieka o wyglądzie zblazowanego arystokraty. Zobaczywszy Szarlottę zmrużył oczy i chciał się odwrócić. Wtem spojrzenie jego padło na Ewę. Szeroko otworzył oczy, wyprostował się w siodle i złożył ukłon bardzo wymowny. Szarlotta odkłoniła się żywo, Ewa zaledwie skinęła głową. Ukłon tego młodzieńca wydał się jej zbyt poufały.

— To hrabia Tondern — objaśniła Szarlotta — jeden z najwytworniejszych kawalerów w kołach arystokratycznych.

— Mimo to nie wie widocznie, jak należy się kłaniać paniom — niechętnie odrzekła Ewa.

— Przecież kłaniał się bardzo serdecznie.

— Nazbyt serdecznie, zważywszy, że mnie przecież nie zna.

— Ach, masz zacofane, prowincjonalne poglądy! — oburzyła się Szarlotta.

Ewa milczała. Tęsknym spojrzeniem obejmowała otaczającą je zieleń i myślała o parku w Hattenfelde. Wydało się jej, że minęła już wieczność, odkąd się tam przechadzała.

— Proszę, zatrzymaj dorożkę i przejdźmy się trochę wśród zieleni — rzekła nagle.

Szarlotta się zgodziła. Ewa chciwie wchłaniała świeże powietrze i z przykrością wsiadła następnie do dorożki, mającej je zawieźć do Ogrodu Zoologicznego.

Już z daleka dochodziły tu melodie koncertowe. Panie i panowie przechadzali się po szerokich alejach, zajęci rozmową i flirtem.

Szarlotta doskonale się orientując, weszła do restauracji pośród drzew. Na otwartej werandzie zajęły miejsce przy wolnym stoliku. Pełne podziwu spojrzenia pobiegły za smukłą młodą dziewczyną, a kilku panów poprawiło monokle i zajęli miejsca takie, by mogli się jej przyglądać.

Szarlotta promieniała, zauważywszy te manewry. Niedbale skinęła na kelnera i zamówiła obiad.

W chwilę później dwóch elegantów w kosztownych panamskich kapeluszach przechodziło obok werandy. Młodszy z nich, mogący mieć lat trzydzieści, nagle ujął swego towarzysza za ramię i szepnął:

— Mój drogi. Widzę tam tę Grabow. Wracajmy, proszę, nie chciałbym się tu przyznawać do tej znajomości.

Mieli zawrócić, gdy mimowoli zerknąwszy ku werandzie, wykrzyknął:

— Do kaduka! Obok tej aktorzycy siedzi czarująca młoda dziewczyna. Skąd ona w takim towarzystwie?

— Zapewne młoda jakaś aktorka.

— Nigdy w świecie. To ktoś z najlepszego towarzystwa. A ta uroda! Przecudne oczy, rysy jak rzeźbione, włosy wspaniałe...

— Dość już, dość. Widzę, że skamieniałeś z podziwu i aktorzyca gotowa nas zobaczyć.

— Niechaj zobaczy. Ta jej towarzyszka zmienia postać rzeczy. Muszę się do niej przysiąść. Fred Wendlin nigdy jeszcze nie minął pięknej kobiety bez podjęcia próby zbliżenia. Wejdźmy!

Pozornie zajęci rozmową podchodzili ku werandzie i zatrzymali się przy stoliku obydwóch pań. Wendlin skłonił się Szarlocie i spytał, czy może przysiąść się ze swym przyjacielem. Przyzwoliła rozpromieniona, a on, udając, że teraz dopiero zauważył Ewę, złożył jej ukłon. Szarlotta przedstawiła:

— Baron Seydell, pan v. Wendlin, moja bratanica, panna Grabow.

Usiedli i rozpoczęła się żywa rozmowa, w której Ewa mały brała udział. Krępowało ją zachowanie tych panów. Seydell poprzestał na płomiennych spojrzeniach, ale Wendlin po kilku kieliszkach zaczął wyraźnie stroić do niej koperczaki. Jego rasowa twarz o ostrym profilu miała przytem wyraz, który ją niepokoił i pozbawiał zwykłej swobody.

Zauważył, że Ewa rozmyślnie odpowiada mu z najwyższą rezerwą, co go jeszcze bardziej podniecało. Tym więcej, że doskonale znając kobiety, zauważył od razu, że nie jest to jedna z kobiet, które zdobywa się za pierwszym szturmem.

Ewa rzucała błagalne spojrzenia na matkę, lecz Szarlotta zmiarkowawszy, co się święci, udawała, że nic nie widzi i nie słyszy, zajęta pozornie żywą rozmową z Seydellem.

Wendlin tym czasem, nie mogąc się dłużej hamować, podczas rozmowy ujął rękę Ewy i chciał ją podnieść do ust. Ewa wyrwała ją szybko, rzuciła mu chłodne spojrzenie i zwróciła się do matki.

— Jestem zmęczona, wracajmy do domu — rzekła stanowczo.

Szarlotta była wściekła na Ewę z powodu jej śmiesznej pruderii. Przypomniała sobie atoli o rencie przyrzeczonej jej przez Wendenburga i o warunkach, jakie jej postawił. Musiała się liczyć z Ewą i tem, co uważała za śmieszne rozkaprysze-nie. Ze zdwojoną uprzejmością pożegnała obu panów, którym Ewa zaledwie skinęła głową.

— Z miejsca cię odpaliła! — zaśmiał się Seydell. — Że też tobie przydarzyć się mogło coś takiego, to istotnie zdumiewające!

Wendlin w milczeniu odprowadzał spojrzeniem smukłą postać Ewy, nerwowo kreśląc laską jakieś znaki na piasku. Nie odpowiedział na szyderską uwagę przyjaciela.

Gdy oddaliły się o tyle by tamci jej nie słyszeli, Szarlotta rzekła tonem irytacji:

— Jestem oburzona, Ewo. Jak mogłaś w podobny sposób dotknąć moich znajomych!

— Nie zachowywali się dość poprawnie, dlatego nie mogłam dłużej pozostawać w ich towarzystwie — brzmiała chłodna odpowiedź.

— Och, przybywasz z zaścianka. U nas ton ten przyjęty jest w najlepszym towarzystwie — odrzuciła matka zirytowana.

— Arogancja nie jest przyjęta w żadnym dobrym towarzystwie, ani w zaścianku, ani w stolicy. Nie mam też zamiaru zadawać się z ludźmi tego pokroju.

— Jeśli będziesz do tego stopnia przewrażliwiona, to wogóle uniemożliwisz sobie wszelkie stosunki z ludźmi.

— Wcale nie pragnę podobnych stosunków.

— Ale ja jestem przyzwyczajona do obcowania z ludźmi i nie myślę się tego wyrzec.

— Wcale tego nie żądam. Możesz obcować z kim ci się podoba, skoro ci to sprawia przyjemność, ale mnie pozostaw w spokoju i nie narażaj mnie na dalsze przykrości w rodzaju dzisiejszej.

Szarlotta zagryzła usta, by nie dać upustu najwyższej swej irytacji. Tak, z tą dziewczyną nic się nie da zrobić — myślała rozdrażniona. Wszystkie jej piękne plany, jakie snuła potajemnie, rozbijały się o upór Ewy. Nie pozostaje jej nic innego, jak poddać się na razie tym kaprysom. Wendenburg związał jej ręce, uzależniając rentę od pozostawienia Ewie całkowitej swobody. Może jednak zręczną namową potrafi stopniowo wpłynąć na nią — zmuszać jej niepodobna.

Wróciły do domu, obydwie skwaszone i milczące.

* *

*

Po otrzymaniu listu od Ewy, Wendenburg tego samego wieczora z córką i Bernardem zaczął omawiać rozmaite plany dotyczące jej przyszłości. Opowiedział im, co mu było wiadomo o matce Ewy, wobec czego pragnąłby możliwie najrychlej znaleźć inne otoczenie dla swojej wychowanicy. Odczytał im też ustęp z listu Ewy, odnoszący się do jej niezłomnego postanowienia zdobycia jakiegoś zajęcia, które jej pozwoli wypełnić sobie życie.

Bernard, który głęboko cierpiał z powodu utraty Ewy i z trudem zmuszał się do roli szczęśliwego narzeczonego, z największym przejęciem słuchał wyłuszczeń Wendenburga. Serce się mu krwawiło na myśl o ukochanej. Widział gorące jej tysiączne niebezpieczeństwa i nieznośną udrękę sprawiała mu świadomość, że ta czysta szlachetna istota jest zmuszona teraz przebywać w towarzystwie swej lekkomyślnej matki. Lęk i zgryzota podsunęły nagle pomysł szczęśliwy. Zerwał się raptownie i rzekł:

— Zdaje mi się, że mogę ojcu podać odpowiednie miejsce pobytu dla Ewy, a równocześnie zaspokoić jej pragnienie znalezienia pracy.

Wendenburg spojrzał nań pytająco.

— Nie potrzebuję chyba zapewniać, jak bardzo byłbym ci zobowiązany za jakąkolwiek wskazówkę w tym względzie.

— Z pewnością zgodzisz się na moją propozycję. Szkoda tylko, że nie przyszło mi to na myśl wcześniej. Wuj Fryc i ciocia Maria chętnie wezmą Ewę do swego domu, gdy o to poproszę. Znajdzie tam i miłe otoczenie i serdeczną życzliwość, a także dość pracy i obowiązków. Ciocia podobnie jak za panieńskich czasów jest najlepszą rysowniczką w fabryce, co do tego stopnia pochłania jej czas, że z największą przyjemnością oddałaby zarząd domu i opiekę nad dwojgiem dzieci osobie sympatycznej, do której miałaby zaufanie. Dotąd nie udało się jej znaleźć odpowiedniej kandydatki. Ewa byłaby dla niej jak stworzona, a ciocia traktowałaby ją jak członka rodziny. Za to ręczę.

Wendenburg odetchnął, jakby mu ciężar spadł z piersi i gorąco uścisnął rękę Bernarda.

— To byłoby istotnie wyjście znakomite. Oby ci się tylko udało pomysł ten urzeczywistnić. Napisz mój drogi natychmiast do swoich krewnych... Albo raczej pojedź do nich. Słowo mówione jest zawsze skuteczniejsze. Bernardzie, nie mogę ci nawet powiedzieć, jak bardzo zależy mi na wyrwaniu Ewy z tamtego środowiska. Tyle dobrego słyszałem o twojej ciotce, a wuja znam przecież osobiście. Tak, niczego lepszego nie mógłbym pragnąć dla Ewy. Chciałbym tylko, by się to stało jak naj-

prędzej, każda godzina pobytu Ewy u jej matki powiększa mój niepokój.

Był tak wzburzony, że głos mu się załamywał i drżał. Bernard był niemniej zaniepokojony. Troska o ukochaną dziewczynę przepełniała serca obu tych ludzi. Gerold spojrzał na zegarek.

— Jeśli się pospieszę, to zdążę jeszcze do nocnego pociągu. Jutro rano będę u wujostwa, a pojutrze z powrotem. I jestem przekonany, że przywiozę ci wiadomość pożądaną. Gabi, musisz wybaczyć, że zaraz cię pożegnam. Wszak się nie gniewasz o to?

Objęła go spojrzeniem, pełnym tkliwej miłości.

— Nie, najdroższy. Jakkolwiek mi strasznie przykro rozstać się z tobą, pragnę, byś co rychlej zajął się tą sprawą. Tak mi żal Ewuni. Także w mojem imieniu poproś ciocię Marię, by zgodziła się na twoją propozycję. Istotnie, nie można marzyć dla niej o czemś lepszem. Życzę ci powodzenia.

Wendenburg pożegnał go uściskiem dłoni, a w godzinę później Bernard wsiadał już do pociągu...

Fryc Herbig wyszedł właśnie z mieszkania, by udać się do fabryki. Nagle przystanął i bystry wzrok utkwił w furtce ogrodowej. I z uradowaną twarzą pobiegł szybko ścieżką, by otworzyć stojącemu za parkanem smukłemu młodemu mężczyźnie.

— Chłopcze, witaj! Widzę, że uprawiasz sport niespodzianek. Chcesz osobiście przyjąć gratulację do zaręczyn? Drogi, kochany, nie masz pojęcia, jak szaloną radość nam sprawiłeś. A co matka? Wyobrażam sobie, jaka musi być szczęśliwa z tego powodu.

— Tak, nie posiadała się z radości, gdy w niedzielę przyjechałem do niej z moją narzeczoną. Tak strasznie płakała ze wzruszenia, że trudno ją było uspokoić.

— Mogę sobie wyobrazić. A teraz chodź mój stary, zastaniesz jeszcze ciotkę Marię przy śniadaniu. Bębny dzięki Bogu w szkole, więc nie zakłócą nam przywitania swymi okrzykami dzikich Indian.

Maria przywitała gościa właściwą jej spokojną serdecznością. Ugościła go herbatą i kanapkami a Fryc odłożył wyjście do fabryki i dotrzymywał im towarzystwa. Jeszcze raz Maria złożyła Bernardowi życzenia z powodu zaręczyn.

Fryc zaśmiał się wesoło.

— Niemniej muszę ci powiedzieć, że swymi zaręczynami zraniłeś poniekąd próżność ciotki, wykazując, że nawet ona może się czasem pomylić.

— Co to znaczy? Nie rozumiem...

— Zaraz ci wyjaśnię. Po mojej bytności w Hattenfelde powiedziałem jej, że podejrzewam, iż jesteś zakochany w jednej z tych dwóch panienek. Musiałem oczywista w miarę możności nakreślić wierne ich wizerunki. I na tej podstawie oświadczyła całkiem stanowczo, że sercem twojem zawładnęła Ewa. Gdy więc na karcie zaręczynowej wyczytała imię Gabrieli Wendenburg, była tym tak zaskoczona, że wręcz nie mogła uwierzyć.

Twarz Bernarda zasępiła się momentalnie. Maria zauważyła tę zmianę, a także Fryc przyjrzał mu się baczniej.

— Nie świetnie wyglądasz tym razem — rzekł powoli. — Zbyt się może przejmujesz świeżą rolą narzeczonego?

Bernard przesunął ręką po czole.

— Widzę, że przed wami niczego zataić nie potrafię i nie chcę. Przyjechałem tu, by uczynić wam zwierzenie i równocześnie wnieść wielką prośbę. Dobrze istotnie, że chwilowo nie ma dzieci. Bo spowiedź moja wymaga spokoju.

Małżonkowie spojrzeli nań zaniepokojeni.

— Chłopcze — ten wstęp nie zwiastuje nic przyjemnego. Mów jednak, powiedz, co ci dolega, wiesz, że u nas znajdziesz pełne zrozumienie.

I Bernard opowiedział szczegółowo, jak do tego doszło, że nie Ewa, lecz Gabi została jego narzeczoną. Niczego nie zataił przed tym dwojgiem ludzi, tak bezwzględnie mu oddanych. Szczerze też wyznał, że wciąż jeszcze kocha Ewę i w najwyższym stopniu niepokoi się i trapi o nią.

Wysłuchali z gorącem współczuciem tego bolesnego zwierzenia. Gdy zamilkł, Fryc uścisnął mu rękę w milczeniu, a uścisk ten był wymowniejszy od wszelkich słów. Oczy Marji przysłoniły się łzami.

— Otóż moi drodzy — podjął Bernard po chwili milczenia — przychodzę do was z prośbą, byście przyjęli Ewę do swego domu. Przysyła mnie z tem Wendenburg, ale przede wszystkiem prze mnie własne serce i poczucie odpowiedzialności. Czuję się współwinnym tego, że Ewa musiała opuścić dom swego wuja i opiekuna, a świadomość, że przebywa teraz u matki, w atmosferze tak bardzo nieodpowiedniej, nie daje mi chwili spokoju. Wiem, że ofiara, jaką uczyniła z nadmiernego poczucia obowiązku, wytrąciła ją z równowagi. Szarpie się też i męczy, a jedynem jej pragnieniem znaleźć pracę i zakres obowiązków w środowisku, do jakiego jest przyzwyczajona. Dlatego zwracam się do was w tej mojej niedoli. Proszę, użyczcie jej opieki, a uwolnicie mnie od troski, która przygniata mnie najciężej. Ciociu Mario, skoro poznasz Ewę, z pewnością obdarzysz ją przyjaźnią, a dzieci i zarząd domu możesz jej powierzyć z największym spokojem. Przekonasz się, że nie jestem zaślepiony, i że Ewa usprawiedliwi twoje zaufanie. Co do mnie, to nie mam słów na poparcie tej mojej najgorętszej prośby, z jaką się do was zwracam.

Maria serdecznie położyła mu ręce na ramionach.

— Ależ kochany, mogłeś chyba być pewny, że z całą gotowością zgodzę się na twoją propozycję. Twoje polecenie wystarcza mi w zupełności, więc to ja właściwie powinnam ci dziękować, że nareszcie znajdę odpowiednią osobę, której z zaufaniem będę mogła powierzyć dzieci. Ale gdyby nawet było inaczej, to ze względu na ciebie użyczylibyśmy jej gościny. Możesz być spokojny, Bernardzie, przyrzekam ci w imieniu nas obojga, że zajmiemy się Ewą jak własnym dzieckiem.

Bernard gorąco ucałował jej rękę.

— Wiedziałem, że was nie będę prosił napróżno. Wszystko, czem jestem, zawdzięczam wujowi, a teraz ciocia pomaga mi w najcięższej sytuacji mego życia. Dzięki, z całej duszy dzięki, wy moi najdrożsi.

Zaczęli się naradzać nad wykonaniem planu. Z cechującą stanowczością Maria oświadczyła, że bezwłocznie pojedzie do Berlina po Ewę. Charakter Ewy, o ile wnioskuje na podstawie opowiadań Bernarda, każe przypuszczać, że listowne zaproszenie może się spotkać z odmową. Tylko w ustnej rozmowie dadzą się usunąć ewentualne skrupuły czy obawy.

— Jednym słowem: Jadę po nią i nie wrócę bez niej — zakończyła.

Ułożono więc, że Maria już pojutrze pojedzie do Berlina, bez poprzedniego uwiadomienia Ewy. Skoro tylko uda się jej skłonić dziewczynę do wyjazdu z nią, wyśle depeszę do Hattenfelde z doniesieniem o szczęśliwem załatwieniu sprawy.

Bernard wzruszony do głębi ściskał ręce obojga.

— Jestem wam tak głęboko zobowiązany, że nigdy tego długu wdzięczności spłacić nie zdołam. Mogę was tylko kochać i czcić jak własnych rodziców. A jeśli w najbliższych czasach nie będę was mógł odwiedzać, to jedynie przez wzgląd na Ewę. Nie możemy się spotykać, zanim świeże nasze rany nie zabliźnią się bodaj częściowo, byśmy jako tako odzyskali równowagę ducha.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 21 marca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi 10.30 „Monety Orlando di Lasso" w wyk. chóru solistów 11.05 „Udział Polski w dziele misyjnym" 9 pogadanka 11.15 Muzyka rozrywkowa (płyty) 12.03 Poranek muzyczny 14.30 „W pierwszy dzień wiosny" — Mała Orkiestra P. R. 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Wznowienie słuchowiska „Przedziwny rycerz Don Kichot z Manczy" 1.720 Koncert solistów (płyty) 18.00 Transmisja koncertu muzyki pasyjnej z kościoła Ewangelicko Reformowanego w Warszawie 18.45 „Poezja zmartwychwstania" — szkic literacki 19.00 „Parsifal" — I akt misterium muzycznego Wagnera Transmisja z Teatru Wielkiego w Warszawie 21.15 Wesoła Syrena 21.45 Recital Lambros Demetrios Callimachos — flet 22.35 „Nastrojowe melodie" (płyty).

Poniedziałek, dnia 22 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Artur Rubinstein gra koncert Czajkowskiego (płyty) 15.15 Mała Orkiestra Polskiego Radia 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 „Pieśni wielkopostne" — w wyk. chóru chłopców 16.50 „Wiedza społeczna, a życie społeczne" — odczyt 17.05 Koncert solistów 17.50 „Stułbia — miotacz harpunów" — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Mała Orkiestra Polskiego Radia 20.15 Pieśni w wykonaniu chóru katedralnego (z Poznania) 21.00 12 koncert ORMUZ'u Transmisja z sali Konserwatorium Muzycznego w Warszawie 22.00 „Mistrz Andrzej i Brat Adam" — wieczór literacki 22.30 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa).

Wtorek, dnia 23 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Popularna muzyka polska w wyk. ork. dętej KPW. 15.15 Muzyka (płyty) 16.30 Utwory organowe. Transmisja z Konserwatorium Warszawsk. 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.15 Fragment z opery „Carmen" Bizet'a (płyty) 17.25 9 audycja z cyklu „Sonaty skrzypcowe Beethovena" 17.50 „Konkurs Chopinowski" — monolog 19.00 „Dyskutujmy": „Czego szukamy w teatrze" 19.20 „Wielki tydzień naszych praojców" 20.00 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny; transmisja z sali Domu Katolickiego „Roma" 22.30 „Godzina myśli" — Juliusza Słowackiego 22.45 Muzyka (płyty).

Środa, dnia 24 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Ludwig van Beethoven: Koncert fortepianowy nr. 3. 12.50 Tradycyjny przekładaniec — pogadanka 16.10 „Zagadka historyczna" — audycja dla dzieci 16.35 Koncert orkiestry wojskowej (z Wilna) 17.20 „Gorzkie Żale" — audycja religijna 17.50 „Rozmowa z ministrem Fr. Druckim-Lubeckim" (wywiad fikcyjny) 19.00 „Stara Agnieszka" — obrazek z powieści 19.20 Muzyka — płyty 20.15 Pieśni i arie — płyty 21.15 Koncert chopinowski w wyk. laureata (1-sza nagr.) III-go Międzynarodowego Konkursu im. F. Chopina Transm. do St. Zjedn. Ameryki Płnc. i do Niemiec 21.45 Jan Sebastian Bach: Kantata Nr. 209 22.10 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Symf. 23.00 Koncert Kwartetu Lenera (płyty).

Czwartek, dnia 25 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Wolfgang A. Mozart (płyty) 15.15 Kwintet Stefana Rachonia 16.20 „Baltazar" — opowiadanie 16.35 Średniowieczne pieśni postne — audycja muzyczna 17.05 „Pogotowie opiekuńcze" — odczyt 17.20 Utwory fortepianowe w wyk. Pawła Lewieckiego 17.50 „Książki i wiedza": „O paru książkach podróżniczych" 19.00 Premiera słuchowiska pt. „Biedaczyna Chrystusowy" 19.30 Koncert muzyki greckiej w dniu święta Grecji 20.15 Koncert symfoniczny. Transmisja z Filharmonii Warsz. 22.30 Chór katedralny w Dijon (płyty) 23.00 Jan Chrystian Bach (płyty).

Piątek, dnia 26 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert wileńskiej orkiestry kameralnej 12.50 „Kolorowe pisanki" — pogadanka 15.05 „W Wielki Piątek" — chóralna aud. muzyczna 20.10 Utwory organowe Fr. Liszta aud. wielkopostna 16.00 „Ciemna Jutrznia" — transm. nabożeństwa pasyjnego 18.00 „Spalenie Świątyni Jerozolimskiej" 18.10 „Słynni dyrygenci" — L. Stokowski 19.20 „Na pustyni" — Zofii Kossak-Szczuckiej (recyt. prozy) 19.40 „Pieśni o Męce Pańskiej" 21.00 Pasja według św. Mateusza — J. S Bacha Transmisja z Brukseli 22.00 „Pójdźmy za Nim" kazanie pasyjne 22.15 „Dialog o grzeszniku i łasce Bożej".

Sobota, dnia 27 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Mała Ork. Polskiego Radia 14.30 Słuchowisko dla dzieci pt. „Opowieść wielkanocna dzwonów toruńskich" 15.15 Utwory E. Griega (płyty) 16.15 „Serenady i nokturny" — w w wyk. Ork. Adama Hermana 17.00 Nastroje i pieśni wielkopostne 17.50 „Dworzec mojego dziadka" — recytacje poezji 18.10 Nabożeństwo Rezurekcyjne 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.25 Koncert Orkiestry Symfonicznej Polsk. Radia 21.00 Koncert solistów 22.00 „Misterium o Zmartw. Pańskim" 22.45 „Pogodne nastroje" — płyty.

HUMOR

Zawsze sędzia

W jednym z miast amerykańskich sędzia udzielał młodej parze ślubu cywilnego.

— Czy pragnie pani — zapytał, zwracając się do panny młodej — pojąć tego tu młodzieńca za męża?

— Tak — odparła cicho panna, potakując głową.

Wówczas sędzia zwrócił się do pana młodego:

— A pan — spytał roztargniony — co pan ma do powiedzenia na swoją obronę?

Dobre zajęcie.

— Niech mi pan powie — co teraz robi ten pański brat, który tak bardzo starał się, ażeby dostać posadę w jakimś urzędzie?

— Co ma teraz robić? Nic nie robi — już dostał tę posadę.

Ostrożność

Godzina druga w nocy. Do kasy banku zakradli się dwaj włamywacze. W milczeniu zabierają się do rozpruwania kasy.

W pewnej chwili jeden zwraca się do drugiego:

— Będziesz musiał sam dokończyć, ja muszę iść do domu!

— Po co?

— Przypomniałem sobie, że nie zamknąłem mieszkania na klucz. Myślisz, że w dzisiejszych czasach tak trudno o złodzieja?

Skradzione należy zwrócić

— Jeżeli człowiek coś ukradnie, powinien rzecz skradzioną zwrócić.

— Ale mnie Edek ukradł całusa!

— To też, jak mówię, jeżeli jest uczciwym człowiekiem, powinien ci oddać!

To co innego

— Nie wstydzicie się — gromi jakiś przechodzień żebraka — brać ze sobą swego małego synka na żebry?

— Proszę pana dobrodzieja, to nie mój syn, to praktykant!

Ostry sos

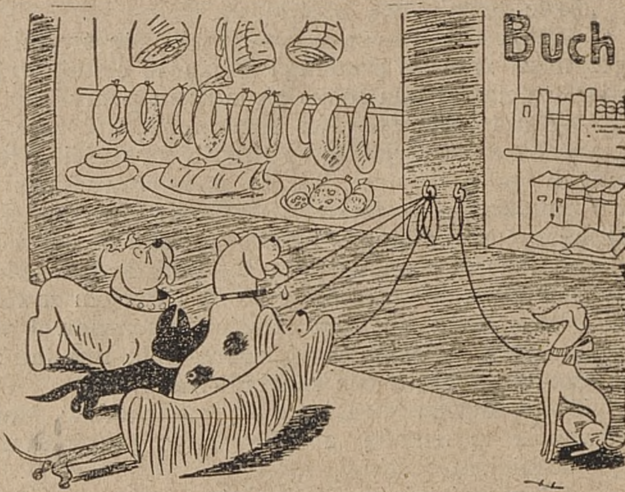
Po zjeździe delegatów kółek rolniczych odbył się wspólny bankiet. Nie wszyscy uczestnicy byli otrzaskani z kuchnią wielkomiejską, to też jeden z nich, kiedy mu podano indyka, nałożył sobie na talerz nie tylko plaster mięsa, ale i kilka gałązek ostrokrzewu, którymi przybrano półmisek. Gość ten spałaszował wszystko z apetytem, choć bez wysiłku.

— Jak panu smakował indyk? — spytano go po bankiecie.

— Owszem — odparł rolnik — owszem, tylko sos był za ostry. Jeszcze mnie kłuje w język.

Samotny piesek

— Jednak moja pani jest względniejsza, nie pozwalając mi tak długo czekać przed apetyczną wystawą; książki są dla psów mniej nęcące....



PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiazuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie